Nr. 229. Lwów — Sobota dnia 7 Października. Rok 1893.

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi. . . . . 5 „
Numera z poprzednich miesięcy po 10 ct.

„Przegląd“ jest do nabycia we Lwowie w obu Biurach sprzedaży dzienników i we wszystkich większych trafikach.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi.

Miesięczna	złr. 1·10	Półroczna	złr. 6
Kwartalna	„ 3·–	Roczna	„ 12

Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.

Prenumeratę należy przesyłać przekazami. Do przesyłanej w kopertach pieniężnych należy dodawać 5 ct.

CENY OGŁOSZEŃ

Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korrespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Justyny P. M. Eufrozyny. Jutro: A. 20. św. Brygidy. N. 19 po S. Ht. 2.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g. 6 m. 15
Zachód „ 5 „ 20

Długość dnia g. 11 m. 5
Ubyło dnia od wczoraj 4 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 6 października.

Po prostu uwierzyć trudno, żeby w środku Europy, w społeczeństwie bardzo cywilizowanem i mającem długą przeszłość historyczną, wśród „narodu filozofów“ mogło się dziać to, o czem donoszą z Koblencyi. Smutny ten przykład ogromnego zdziczenia pojęć, wywołanego szowinizmem, tak się przedstawia. Pewien protestant Ludwig, ożeniony z katoliczką, zmarł, zostawiając wdowie jedyną córeczkę. Kiedy ta dziecina podrosła, presbiteryum ewangelickie zażądało od gminnej rady sierocińskiej, aby odebrała od matki dziewczynkę, która powinna być wychowana w wyznaniu protestanckiem, jak to postanawia ustawa z roku 1803 o małżeństwach mięszanych. Prezes rady sierocińskiej Luck przekonał się, że dziewczynka jest ochrzczona w katolickim kościele i już wychowana w wierze swej matki, więc nietylko nie wykonał żądania pastorów, ale jeszcze miejscowego proboszcza księdza Slöcka zamianował opiekunem dziewczynki. Ponieważ pani Ludwigowa była uboga, więc ks. Slöck, znany z tego, że obowiązki opiekuna spełniał zawsze bardzo sumiennie, umieścił sierotkę w szkółce klasztornej. Było to przed dwoma laty. Przez cały ten czas presbiteryum ewangelickie kołatało do wszystkich biur rządowych, domagając się odebrania opiekuństwa księdzu Slöckowi i powierzenia go protestantowi, któryby zobowiązał się wychować dziewczynkę w wyznaniu protestanckiem. Zabiegi te były uwzględnione, księdzu Slöckowi odebrano opiekuństwo, o czem go urzędownie zawiadomiono, ale wyszukanie nowego opiekuna nieco się przewlekło i w skutek tego dziewczynka jeszcze kilka miesięcy pozostawała w klasztorze. Kiedy nareszcie znalazł się opiekun i zawiadomiono matkę, że jej dziecko pójdzie między obcych ludzi i będzie wychowywane po protestancku, biedna kobiecina sprzedała wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, zabrała córeczkę i wywiozła do Luksemburgu, gdzie ją ulokowała również w klasztorze. Za takie zrabowanie owieczki, należącej do kirchy protestanckiej, prokurator wytoczył proces pani Ludwigowej, a zarazem już i ks. Slöckowi, podejrzywając go o pomoc i radę wdowie. Sąd pierwszej instancyi uwolnił oboje, ale sąd Rzeszy niemieckiej zwalił ten wyrok i trybunałowi w Koblencyi polecił ponownie przeprowadzić proces, przyczem w motywach dodał, że bądź co bądź czyn karygodny jest, pozostaje tylko zbadać, czy oskarżeni popełnili go z całą świadomością. Księdzu grozi dziewięciomiesięczne, a wdowie kwartalne więzienie.

Takie fakta nie są w Prusach wyjątkowe. Państwo protestanckie całą swą potęgą, cicho i systematycznie, a z bezwzględnością jakby pożyczoną u Rosyi, tępi katolicyzm. Wielkopolskie dzienniki mają niemal stałą rubrykę, w której notują porywania polskich katolickich sierot i oddawanie ich protestantom na wychowanie. Niedawno czytaliśmy anonimową rozprawkę niemiecką, w której przedstawiono los katolickiego Kościoła w dwóch prowincyach oderwanych od Francyi po ostatniej wojnie. Z tej rozprawki dowiedzieliśmy się, że w ciągu ostatnich lat dwudziestu w Alzacyi i Lotaryngii ubyło katolików około stu tysięcy, a liczba protestantów podniosła się z 245-ciu tysięcy na 337.000. Ten dziwny fakt tłómaczy autor rozprawy w ten sposób: „Rząd, będący przedewszystkiem protestanckim, używa wszędzie tych samych środków, a tymi są: biurokracya i małżeństwa mięszane. W Niemczech urzędnik jest osobistością potężną; reprezentuje on cesarza, choćby był tylko woźnym, i uważa się sam za rodzaj cesarza w swym zakresie działania. Taki biurokrata posiada z samej natury rzeczy wpływ bardzo wielki. Gdyby posady rozdawano sprawiedliwie, nie byłoby o to skarg ze stanowiska kościelnego, bo urzędnicy katolicy równoważyliby wpływ urzędników protestanckich. Ale tego właśnie rząd nie chce. Aby utrudnić katolikom obronę ich interesów, znalazł bardzo prosty sposób: usunął ich od wszystkich urzędów państwowych. Burmistrz, profesor, inspektor szkolny, landrat, żandarm itd., — wszyscy są protestantami w miejscowości choćby na wskroś katolickiej. Jest to system, utrzymywany z zaciętą uporczywością. Nie mówimy już o tem, że w Berlinie nie ma ani jednego ministra katolika. Te grube posady przeznaczone są wyłącznie dla wyznawców Lutra. Ale ta sama niesprawiedliwość panuje w całej administracyi. Między jedynastu naczelnymi prezesami (niby po naszemu namiestnikami) nie ma ani jednego katolika, a jest tylko jeden między 36-ciu rejentami (to zn. po naszemu prezydentami kraju). W całej służbie sądowej nie ma ani jednego katolika między prezesami, wice-prezesami trybunałów i prokuratorami. Na z górą 3 tysiące niższych urzędników sądowych znajduje się 150-ciu katolików, lecz takich przeważnie, którzy się pożenili z protestantkami i dzieci swe wychowują w nauce Lutra. Tak jest we wszystkich gałęziach służby państwowej, a najgorzej w zarządzie politycznym, to zaś dostatecznie tłómaczy ustawiczne i ogromne straty katolicyzmu w Niemczech, znajdujących się pod metropolią protestanckich Prus, które za swem panowaniem wniosły pojęcie, że prawdziwym patryotą niemieckim może być tylko protestant, bezwyznaniowiec, wreszcie izraelita, ale nigdy katolik. Ze stanowiska tedy katolickiego, oderwanie Alzacyi i Lotaryngii od Francyi jest prawdziwem nieszczęściem. Ale i na całym obszarze Niemiec, głównie zaś w krajach bezpośrednio administrowanych przez Prusy, trwa nieustanna, cicha i wytrwała wojna z Kościołem katolickim, do którego przecież należy trzecia część wszystkich obywateli“.

Jeżeli tak jest, tedy dziwić się temu nie można, że katolickie stronnictwo w Prusach, w teraźniejszym swym przedwyborczym manifeście, postawiło na miejscu naczelnem żądanie, aby katolikom przyznano na wszystkich szczeblach państwowej służby tyle posad, ile wypada z liczbowego stosunku ludności katolickiej do protestanckiej.

KORESPONDENCYE.

Warszawa 30 września 1893.

Żadna dotąd gałąź dobroczynności nie rozwinęła się u nas tak szybko i pomyślnie, jak kolonie letnie dla biednej dziatwy. Doktor Markiewicz, niezmordowany inicyator, stoi na czele komitetu, którego starania coraz lepszym uwieńczone są skutkiem, liczba kolonii bowiem znacznie się w tym roku powiększyła. Rozumna organizacya, troskliwa opieka, zdrowe i obfite pożywienie, właściwy dobór osób dozorujących i ciągła kontrola wreszcie, zapewniają najuboższej dziatwie wszystko to, do czego wzdychają naprożno dzieci rodziców nieco zamożniejszych (niższych urzędników), nie będących jednak w stanie wywieść swoich dzieci na wieś.

Jest jednak nadzieja, że i dla takich z czasem znajdą się fundusze, gdyż początek już zrobiony. Przed kilku dniami bowiem, z okazyi podpisania aktu działowego, pomiędzy spadkobiercami ś. p. Leona Skiwskiego, wdowa po nim ofiarowała na rzecz kolonii leczniczych 12,000 rubli, jako fundusz żelazny, od którego odsetki mają być obracane na wyjazd na wieś dzieci ubogich urzędników wyznania rzymsko-katolickiego. Oby przykład ten znalazł jak najliczniejszych i równie hojnych ofiarodawców.

Eksploatacya miłosierdzia publicznego w Warszawie jest znaczna, lecz sposoby, jakimi dotychczas posługują się nasze instytucye dobroczynne, oddawna się już zużyły, a dowodem tego są bale, koncerta, przedstawienia amatorskie, i t. p., coraz mniejszem cieszące się powodzeniem. Ten brak funduszów skłonił pewne grono dobrze myślących osób do urządzenia próbnego domu zarobkowego na Pradze, mogącego pomieścić do 50-ciu ubogich, poszukujących pracy. Na początek wprowadzono szycie worków i wyrób torebek papierowych. Instytucya ta funkcyonuje dopiero od tygodnia i zatrudnia dotychczas 40 osób.

W operze zapanował ruch gorączkowy — nominacyę nowego kapelmistrza p. Stanisława Barcewicza powitano bardzo sympatycznie, ale prawdziwi wielbiciele Barcewicza-skrzypka obawiają się bardzo, aby Barcewicz-kapelmistrz nie wziął góry nad skrzypkiem, aby wielki wirtuoz nie zaniedbał gry skrzypcowej. Z drugiej strony powołanie takiego muzyka do kierownictwa operą — tylko na korzyść operze wyjść może.

Jako najbliższą nowość zapowiedziano „Otella“ Verdiego, a do roli Jagona zaangażowała dyrekcya słynnego Maurela, który za trzy występy otrzyma 9000 franków, a prócz tego jeszcze 600 franków na koszta podróży. Tenor Durot, który w „Otellu“ śpiewać będzie partyę tytułową, otrzyma za dwa miesiące 14.080 fr. Trzysta kostyumów do tej opery sprowadzono z Medyolanu za 6000 rubli, dekoracye wykonane na miejscu kosztują przeszło 5000 rubli. Słowem — dyrekcya teatrów stara się usilnie, aby przedstawienia „Otella“ wypadły jak najświetniej.

Na listopad zapowiedziane są trzy występy panny Miry Hellerówny, która zatrzymała się w Warszawie w drodze do Petersburga, gdzie śpiewać będzie do końca lutego. Na marzec udaje się artystka do Moskwy.

Obecnie bawi w Warszawie Edward Reszke, Jan zaś pozostał w Borownie, ich rodzinnej wiosce. Może wiecie już, że ich artystyczna podróż do Ameryki nie przyjdzie do skutku, gdyż rozwiązali kontrakt i prawdopodobnie pozostaną przez zimę w Warszawie. Niezawodnie usłyszymy ich na scenie, gdyż dyrekcya teatru podobno z obu artystami nawiązała rokowania co do kilkunastu występów gościnnych na scenie naszej.

Sławne jarmarki łowickie, odbywające się corocznie, chylą się stanowczo do upadku i nie odgrywają już tej roli w handlu końmi, jaką dawniej odgrywały. Dawniej sprzedawano tu konie do tysiąca sztuk przez trzy dni trwania jarmarku, obecnie sprzedaż osiągnęła zaledwie cyfrę 150 po cenie 100 do 1000 rubli za parę. Wprawdzie napływ ludności był dość znaczny, ale składał się przeważnie z okolicznych włościan, którzy chcieli zakosztować uciech jarmarcznych. Ruch handlowy ograniczał się prawie głównie na transakcyach na futra i okrycia; właściciele ziemscy nie kupowali nic prócz koni, to też trzeciego dnia — kiedy jarmark w latach poprzednich był zwykle najbardziej ożywiony — zaczęto już budy jarmarczne rozbierać i miasto wracało do zwykłej ciszy.

Od paru dni rozpoczęły się codzienne przedwyścigowe galopy na polu Mokotowskiem, a robota ta odbywa się na całej przestrzeni oranej oraz na części toru, wysypanej grubo korą dębową. Miejsce to jest przeznaczone dla dwulatków i koni ze słabszemi nogami. Dotąd przybyły konie Augusta hr. Potockiego i kilku mniejszych hodowców; w tych dniach nadejść mają konie p. Grabowskiego, a między nimi i sławny z wyścigów moskiewskich „Sezam“, który na tamtejszym torze podczas ostatnich wyścigów wygrał przeszło 50.000 rubli.

Sport w ogóle zaczyna na naszym bruku zyskiwać zwolenników i coraz to w nowej występuje formie. Od pewnego czasu zaczyna się rozwijać nowy — przynajmniej u nas — sport szczudlany. Nietylko malcy, ale i dorośli z zamiłowaniem biorą się do chodzenia na szczudłach, a nawet przedsiębiorą dalekie wycieczki do wiosek okolicznych. Widok tych nowomodnych spacerowiczów budzi ogólną sensacyę.

Ruchliwy klub cyklistów warszawskich urządził przed paru dniami wyścigi kołowe w Radomiu. Biegów było ogółem sześć, a nagrody zabrali prawie wyłącznie Warszawiacy; między nazwiskami zwycięzców figurują dwaj najlepsi jeźdźcy warszawscy, panowie: Bieńkowski i Horodyński.

Wracając z wyścigów wstąpiłem do osady Połaniec, gdzie odbywało się poświęcenie fundamentów pod kościół. Świątynia będzie wzniesioną na miejscu dawnej, która spłonęła kilka lat temu. Proboszcz miejscowy i obywatelstwo okoliczne starali się usilnie o to, aby módz zaraz po uprzątnięciu gruzów przystąpić do wznoszenia nowego gmachu, rząd jednak oparł się wtedy temu stanowczo i zaledwie po upływie lat sześciu zdołano uzyskać pozwolenie i to z wielkiem ograniczeniem. Nie wolno mianowicie zbierać składek na budowę kościoła pod żadnym pozorem, a na wszelkie koszta ma wystarczyć fundusz uzyskany z asekuracyi spalonego kościoła. Suma ta nie przenosi wraz z procentami dziesięciu tysięcy rubli, pytanie więc jakim cudem za tak drobną kwotę można wybudować kościół, któryby mógł pomieścić około tysiąca parafian? Rozporządzenie władzy jest tem śmieszniejsze, że kosztorys zatwierdzony przez nią wynosi około 30.000 rubli. Jestto naturalnie tylko „sztuczka“, która ma służyć do przeszkodzenia budowie kościoła w ogóle. Tymczasem na sobór prawosławny w Warszawie składki zbierają się bardzo energicznie; urzędników różnych instytucyi rządowych, bez różnicy wyznania, „zaprasza“ się grzecznie do ofiarowania jakiegoś dobrowolnego datku na ten cel. Wiadomo, że takie „zaproszenie“ jest rozkazem, od którego spełnienia nikt się uchylić nie chce w obawie smutnych następstw, jakie krok taki mógłby za sobą pociągnąć.

Zjazd producentów chmielu na jarmark, jaki się wczoraj rozpoczął, jest mniej liczny niż w innych latach, choć plon dał w tym roku dobre w ogóle rezultaty, jakkolwiek wskutek chłodów produkt jest nieco lżejszy niż w innych latach. Na zebraniu delegacyi chmielarskiej postawiono wniosek, aby wydawać specyalne czasopismo chmielarsko-piwowarskie, któreby zawierało wskazówki i rady dla plantatorów.

W obec rozpowszechniającej się u nas uprawy chmielu pismo takie miałoby zupełną racyę bytu, mimo to jednak wniosek upadł, gdyż zdaniem wielu, pismo takie jako organ samoistny utrzymać by się nie mogło. Postanowiono natomiast z uwagi, że wynik zbiorów jest na rynku czynnikiem rozstrzygającym, układać zbiorowemi siłami odpowiednie biuletyny i ogłaszać je w jednem z pism rolniczych. Załatwienie kwestyi w ten sposób jest niczem innem, jak brakiem zaufania we własne siły, tem więcej, że szeregi producentów chmielu zwiększają się stale z roku na rok i włościanie coraz chętniej zabierają się do uprawy chmielu, widząc, że produkt ten przynosi im niemałe zyski.

Na jarmarku, w składach Banku państwa, ilość chmielu jest wyjątkowo małą, gdyż około ¾ produkcyi sprzedano już na samych plantacyach. Ceny są wyższe znacznie, niż w roku poprzednim, za wyborowy gatunek płacono wtedy 45 do 50 rubli za 100 funtów, dziś płacą 60 do 70.

Sensacyę wywołał tu niemałą fakt samobójstwa w sądzie wojskowym. Jako oskarżony o fałszerstwo i pobicie szyldwacha stawał porucznik brygady nowobrzeskiej straży pogranicznej Iwan Tomaszewicz. Przy ogłoszeniu wyroku, mocą którego Tomaszewicz pozbawiony został wszelkich praw stanu, rangi i orderów i skazany na zesłanie do gubernii tobolskiej, wyjął oskarżony rewolwer i strzałem w lewą skroń pozbawił się życia. Jak przypuszczają ogólnie, wyrok był niesprawiedliwy i Tomaszewicz padł ofiarą swojej gorliwości w służbie, patrząc zbytnio na ręce swego komendanta i nie pozwalając mu nieraz postępować według swego widzimisię.

Na półkach księgarskich ukazała się najnowsza powieść Elizy Orzeszkowej „Dwa bieguny“. W pracy tej poruszyła autorka starą jak świat kwestyę miłości ku sobie dwojga ludzi, stojących pod względem pragnień i wyobraźni na dwóch przeciwnych sobie biegunach. Życie ich biegnie dwoma liniami i te linie raz tylko zetknąć się mogły, by zaraz odskoczyć od siebie na zawsze. On materyalista, ona idealistka.

Książka p. Orzeszkowej jest do pewnego stopnia traktatem psychologiczno-społecznym, choć psychologia nie jest tu zbyt głęboką. Co do formy literackiej, to słowa, zdania, wyrazy płyną jak potok nieprzebrany i niepowstrzymany, jak potok zalewają wszystko, unoszą, porywają, brzmią i szemrzą. Zaciera to wszystko wyrazistość rysunku i rozwadnia go.

Za to niektóre miejsca, jak n. p. opis śnieżnych obszarów litewskich, ograniczonych szarym pasem puszczy niedalekiej, z niebem smętnem nad sobą, występują nader silnie i plastycznie. Pomimo tych wad, które zresztą można uważać za charakterystyczne rysy działalności pisarskiej autorki, tak one zawsze i wszędzie się w jej pracach powtarzają, „Dwa bieguny“ pozostaną w literaturze, gdyż należą do lepszych prac Elizy Orzeszkowej.

Ze wsi.

Z Rohatyńskiego 2 października.

Przeżywamy rok wyjątkowy: widział kto kopy pszenicy w polu stojące koło św. Michała? Mieliśmy i to tutaj. Ze wszystkiem jesteśmy spóźnieni: siew mało gdzie w połowie, i także dla tego, że z rolą bieda ogromna, bo zaperzona niesłychanie. Trzeba dobrze się namozolić pługami i bronami, zanim jako tako gotowa będzie pod ziarno, a ziarno wcale nieszczególne. Kto nie sprowadzał i na swojem zmuszony poprzestać, rzuca je w ziemię więcej niż średniej jakości, choć stara się oczyścić należycie, takie ono już tego roku nikłe, nieurodziwe, biedne, aż litość bierze, a zrośniętego dużo. Nic dziwnego, gdyż od 8 maja, dnia, w którym przestały huczeć północne wichry i ściskać ziemię mrozy, było przez cztery miesiące tylko 17 dni bez deszczu! Ziarno więc nie mogło wykształcić się należycie. I wydatek bardzo niewielki, przeciędowo 50 kilogramów z kopy pszenicy, a są miejscowości, że dochodzi tylko do 4 garncy. Groch, jęczmiona, kukurudza, hreczka zupełnie tu nie dopisały; kartofli mamy 3 ziarna, kapusty brak. Łatwo przewidzieć głód na wiosnę. Cen zaś żadnych i pokupu tem mniej. Więc nietylko włościanom bieda; dopiecze zamożniejszym, nawiedziła dzierżawców i właścicieli. Wielu obywateli dopłacać będzie zmuszonych do tegorocznych zbiorów, aby wydatkom koniecznym zadość uczynić. Pomimo niesłychanych zalewów i myszy zaczynają się pojawiać, już tu i ówdzie widać gromady, i pługi wyorują całe gniazda. Jeśli zima im nie da rady, wygryzą koniczyny do szczętu, jak temu dwa lata. Oziminy schodzą ładnie, pszenice jednak trzymają się przy ziemi, zimno nie pozwala im rozrość się i rozkrzewić.

Z robotnikiem ciągła bieda i wcale go nie mieliśmy i nie mamy, a opieszalszy był tego roku gorzej niż lat innych. Od kopy płaciło się 60 ct. Brak solidarności między sąsiadami trochę przyczynia się do rozbałamucania włościan — przysyła się do cudzych wsi, wyrywa jeden drugiemu robotników, ciągnie,

5)

Nowy filozof polski.

(Ciąg dalszy).

— A o tem zkąd pan wie?... Do czasów Gilberta sądzono, że elektryczność istnieje tylko w bursztynie; dziś wiemy, że może ona istnieć w całym wszechświecie. Zwyczajni ludzie sądzą, że w tem miejscu, gdzie marznie woda, a jeszcze bardziej — merkuryusz, nie ma ciepła; fizycy zaś są pewni, że jeszcze o 250 i 200 stopni poniżej zamarzania wody — jest ciepło. Ztąd wniosek, że aczkolwiek duszę dzisiaj upatrujemy tylko w mózgu, wśród najenergiczniejszych objawów życia, jednakże nasi następcy, za parę set lat, mogą widzieć ją w roślinie, w kamieniu, nawet w tem, co nazywa się — barometryczną próżnią.

— No — rzekł Zdzisław — to są dopiero przypuszczenia. Tymczasem fakt, że myśl jest funkcyą mózgu.

— O... właśnie! Może pan zechce dowieść tego? — wtrącił Dębicki.

— Dowody pan zna — odparł Brzeski — więc wyliczę tylko ich nagłówki. Widzimy w świecie zwierzęcym, że większemu rozwojowi mózgu odpowiada większy rozwój umysłowości. Ze świata zaś ludzkiego wiemy, że nadmierny, albo skąpy napływ krwi do mózgu, osłabia lub unicestwia samo myślenie. Że alkohol, kawa, herbata, podniecając krążenie krwi, podniecają proces myślenia. Że gdy mózg więdnie na starość, słabną zarazem zdolności umysłowe...

Decydującemi są doświadczenia Flourensa, który niszczył świadomość w gołębiach, wycinając im warstwy mózgu; lecz gdy mózg odrastał, gołąb odzyskiwał świadomość...

Zresztą — co mam więcej mówić?.. Zna pan drugi tom Moleschotta, pod tytułem: „Krążenie życia“. A ty, Madziu, możesz przeczytać bodaj 18-ty list: „O myśli“.

Dębicki potarł brodę.

— Teraz ja proszę pana — rzekł — ażebyś nie posądził mnie o arrogancyę. Otóż, od bardzo dawna nie mogę wyjść z podziwu, że ludzie tej bystrości, co Moleschott, albo Vogt, są tak naiwnymi w kwestyi dowodów. Powiem krótko. Wszystkie doświadczenia robione nad mózgiem: badania produktów chemicznych, temperatury mózgu, jego prądów elektrycznych, wszystkie uszkodzenia mózgu, umyślne czy przypadkowe, dowiodły tylko jednej rzeczy, że — mózg jest organem ducha. Człowiek z uszkodzonym mózgiem źle myśli, czy nie może objawiać, że myśli, — jak człowiek z uszkodzonem okiem źle widzi lub wcale nie widzi, a człowiek z uszkodzoną nogą — źle chodzi lub wcale nie chodzi. Tymczasem w naturze zjawisko ruchu bynajmniej nie jest związane z muskułami, ani wrażliwość na światło — z okiem. Spadający kamień porusza się, choć nie ma muskułów, ani nerwów; płytka fotograficzna i selen są wrażliwe na światło, choć nie posiadają nerwu optycznego soczewki, tęczówki i tak dalej.

Jeżeli więc ruch mechaniczny, albo wrażliwość na światło mogą istnieć po za granicami muskułów i oka, dlaczego myśl, czucie, świadomość, nie miałyby istnieć po za obrębem mózgu? Bez mózgu nie ma myśli... bez bursztynu nie ma elektryczności!... Pomyśl pan, czy to nie dziecińctwo?...

— Pysznie!... — zawołał Brzeski. — Teraz zostaje profesorowi tylko, pokazać nam duszę w kamieniu lub barometrycznej próżni...

— Nie, panie. Nie pokażę ci ani duszy, ani tego łańcucha, którym zmierzono odległość ziemi, bodajby od księżyca, ani 400 trylionów drgań na sekundę.. Są to bowiem fakta, nie podpadające pod zmysły. Ale zrobię co innego: pokażę panu nowe zagadnienia dla myśli.

— Nie jest to wprawdzie to samo... — wtrącił Zdzisław.

— Znajdzie się i to samo. Tymczasem posłuchaj pan. Z górą przed stoma laty ktoś zapytał Woltera: czy dusza ludzka może żyć po śmierci? Na to wielki satyryk odpowiedział: czy śpiew słowika zostaje po śmierci słowika?..

Jest to dowcip, kryjący w sobie niezmierną prawdę. Ale wie pan, co się stało w niecały wiek po tej genialnej odpowiedzi?.. Przyszedł Hirn, Joule, Meyer i — dowiedli, że: po śmierci słowika nie zostaje wprawdzie śpiew słowika, ale — energia, ukryta w tym śpiewie — zostaje i zostanie na całą wieczność. Innemi słowy: śpiew słowika, jako drganie powietrza, działające na nasz słuch, znika; ale utajony w nim: iloczyn z połowy kwadratu prędkości przez masę, czyli to, co stanowi duszę śpiewu, żyć będzie na wieki. W naturze nie ma potęgi, która mogłaby zniszczyć ten byt niewidzialny, a jednak rzeczywisty.

— No, to jeszcze nie jest nieśmiertelność jakiejś duszy indywidualnej, czyjegoś *ja*... — przerwał Zdzisław.

— Zaczekaj pan!... To nie jest — to, ale jest — zawsze coś, a raczej dwa *cosie*: jakiś byt rzeczywisty, choć niewidzialny i jakaś wieczność, o której mówią nie baby pod kościołem, ale fizycy. Niech więc pan to zapamięta, że są rzeczywistości nie podpadające pod zmysły i że jest nieśmiertelność dowiedziona w sposób ściśle naukowy...

— Ale nie dla mojej duszy...

— Przyjdzie i to; nie zaraz, ale przyjdzie. W tej chwili zwrócę uwagę pańską, że nieśmiertelność energii i materyi, dowiedziona faktami i rachunkiem nieledwie dopiero w naszych czasach, była przeczuwana od tysięcy lat. Przeczucia te bardzo wyraźnie formułowali greccy filozofowie, Spencer zaś mniema, że: przeczucie niezniszczalności materyi i energii wprost narzuca się każdemu umysłowi w sposób konieczny. Nauka więc nie zrobiła pod tym względem nowego odkrycia, lecz tylko — potwierdziła to, co ogół niejasno odczuwał.

Otóż nie zaprzeczysz pan, że ludzkość w nierównie wyższym stopniu posiada przeczucie nieśmiertelności duszy. Nie widzi ona wyraźnie, ale spostrzega jakieś ogólne kontury tej prawdy; powszechność zaś przeczuć stanowi poważną wskazówkę...

— Są jednak ludzie, nie mający tych przeczuć — wtrącił Brzeski.

— Są też ludzie niewrażliwi na światło, ślepi. Pociesz się pan jednak, że jak dla kompensaty istnieją ludzie obdarzeni wyjątkowo dobrym wzrokiem, którzy bez szkieł widzą księżyce Jowisza, tak również istnieją obdarowani wyjątkowo silnym zmysłem duchowym. I ci rozprawiają o duszy i o świecie nadzmysłowym, jak my o Saskim placu, na który w tej chwili patrzymy.

Wstręt do nicości, wrodzony naturze ludzkiej, tembardziej zastanawia, że nicość przedstawiamy sobie jako twardy sen. Otóż my z twardym snem jesteśmy oswojeni, równie dobrze jak ze stanem czuwania; więcej nawet — twardy sen jest bardzo przyjemnem zjawiskiem, a naodwrót życie, czuwanie, bywa przepełnione cierpieniami. Mimo to wszystko myśl o wiecznym śnie przeraża nas, a myśl o wiecznem czuwaniu, choćby nawet nie wolnem od przykrości, napełnia nas pociechą.

Nicość jest wstrętna ludzkiej naturze, pociąg do życia wiecznego prawie powszechny. Jeżeli więc, mimo to, istnieje szkoła filozoficzna, która wierzy i głosi nicość, to powinna mieć jakieś potężne dowody. Nie ci bowiem dowodzą, którzy podzielają wiarę powszechną, a raczej: instynkt powszechny w pewnym kierunku, ale ci, którzy wskazują nowy kierunek.

Otóż, jak się pan przekonasz, system dowodów materyalistycznych nietylko nie ma wartości naukowej, ale opiera się na tak rażących niedorzecznościach, że zdumiewają.

— Już zaczynam się zdumiewać — wtrącił Brzeski — ale... tem, co pan powiedział.

Madzia wpatrywała się w Dębickiego, jak w dziwowisko. Prawie nie śmiała oddychać.

— Opowiem bajkę — ciągnął profesor. — Ktoś uderzony faktem, że zwykli ludzie zachwycają się niknącemi obrazami, postanowił osobiście zbadać tę kwestyę. W tym celu poszedł na przedstawienie niknących obrazów, ale, ażeby nie poddawać się wrażeniom tłumów, które bardzo często są omylne, wie pan co zrobił?... Zalepił sobie oba oczy...

— Puszcza się profesor!.. — zawołał Brzeski.

— Zaczekaj pan. Siedzi tedy na przedstawieniu nasz filozof z zalepionemi oczyma, słyszy muzykę kataryni, brawa publiczności i robi wnioski.

Uważam — mówi sobie — że ci państwo najczęściej biją brawa wówczas, gdy katarynka gra melodye smętne, a śmieją się, gdy gra skoczne. Widzowie z pierwszego rzędu są najbardziej ożywieni, gdyż — siedzą na wyściełanych krzesłach. Przy ostatniej zaś seryi obrazów dlatego panowało tak uroczyste milczenie, ponieważ latarnia, rzucająca obrazy, zaczęła kopcić i swąd napełnił salę.

Cobyś pan powiedział o takim badaczu niknących obrazów?... zapytał nagle Dębicki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

obiecuje złote góry. Czasem swoim się nie płaci a wabi obcych, czasem znów nie wiedząc już *à quel saint se vouer*, gdy słońce błysło, a tu ani żywej duszy na polu, z rozpaczy woły gnało się gdziebądź, byle dostać robotnika. W miasteczkach formalne targi odbywały się na ludzi.

Wszyscy narzekamy na małe te stosunki... Niejedni przypisywali lenistwo włościan brakowi potrzeb u nich, a jednak mają potrzeby: zalegają z podatkami, gniotą ich różne ciężary, strasznie im trudno się wypłacić — pomimo to na zarobek nie śpieszą i lekceważą sobie czas i pracę, która grosz daje. Nie rozumieją nawet własnego interesu — dziwna u nich panuje apatya! Jakimiż są prawdziwie? Oto sylwetka: żadnej oświaty — między starszymi prawie że nikt czytać nie umie, z młodszych mało który. Szkołę uważają za ciężar i wymysł do niczego, dworowi nie ufają. Kraść nie jest grzechem u nich. Wypasać trawy, łamać kukurudzę, ciąć drzewa, zaorywać miedze, zajęciem ich codziennem. Jeśli mają konia lub krowę, wyhodowują je za pomocą cudzej własności. A co za wykręty, gdy przychwytani na gorącym uczynku, przychodzą po bydlę w szkodzie zajęte do dworu, jakie bogactwo imaginacyjnej kompozycyi w wymówkach!

Niejeden zgorszony pomyśli o zbytnim pesymizmie i nadto czarnych barwach! a jednak zaręczyć mogę, że nikt nademnie więcej tego ludu nie kocha i nie pragnie podniesienia jego moralnego. Przekonanie moje takie, że nie trzeba rzeczy postywować, że lepiej mieć odwagę spojrzeć prawdzie w twarz, bo tylko z poznania dokładnego płynie dopiero skuteczne obmyślenie lekarstwa, zmiany na lepsze. Ludu nie przerobimy ani uszlachetnimy idealizując go sobie, wyobrażając go podług własnego pragnienia. Nie tędy droga właściwa. Przeciwnie.

W ręku księży spoczywa klucz do tych dusz zamkniętych. Czego żadna świecka cywilizacya nie dokaże, ani wpływ dworów, ksiądz potrafi. Słowo jego posiada potęgę niezmierną, siłę niezwalczoną. Kary i nagrody, podniesienie na duchu, wzmocnienie moralności przez zachwianej dziś, wszystko w jego dłoniach, tak jak kierunek cały, dobry lub zły. Któż przerazi, skruszy, przymusi do przysięgi na wstrzemięźliwość, chroni od pokus, jeśli nie ksiądz? Szczególniej w obec prądów socyalistycznych, które przenikają wszędzie, obronne wały wznosić czemprędzej należy, aby pod zasłoną religii lud bezpiecznie mógł odpierać naciski tych fal zdradliwych, które pochłaniają wszelki porządek społeczny, wszelkie poszanowanie prawa własności... a chłop już dziś, aż nadto skłonny do wyznawania socyalistycznych teoryi i zastosowywania ich w praktyce, chociaż ich dotąd jeszcze nie zna. Nakazywanie uszanowania władzom i nauczanie obowiązków względem cudzej własności, utrzymywanie włościan w przyzwoitych karbach surowych zasad moralności, wymaganie święcenia niedzieli i świąt, z całą dokładnością, przedstawianie im pożytku pracy i niepowetowanej straty, którą ponoszą, gdy czasu bynajmniej w rachubę nie biorą — zwolna by pewnie oddziałało zbawiennie. Ile to zgubnych zwyczajów na wsi, przeciw którym tylko powaga księdza mogłaby do walki stanąć; dość przytoczyć zwyczaj całotygodniowych wesel, podczas których końca nie ma pijatyce i próżnowaniu póty, póki z ostatniego się nie straci i wszystkiego co mają nie przehulają. Znam miejscowości, gdzie księża w celu unieśmiertelnienia ciągłych tych obchodów, wszystkim weselom jedną przeznacza niedzielę, daje ślub na raz kilku parom nowożeńców, pozwala tylko na 3 dni zabawy i tym sposobem chroni ludzi od strat materyalnych, a skupiając grona weselników na kilku punktach wsi, zabezpiecza przed ciągnącemi się całymi tygodniami hulankami i próżnowaniem kolejnem przy każdym ślubie z osobna.

A sposób święcenia niedzieli? Karczma i niedziela, pijatyka i niedziela, to synonimy u włościan. Po miasteczkach tłumy w niedzielę, odbywają się zakupna i targi z żydami, jak w dzień powszedni, a tymczasem nie ma z czyny, żeby wśród tygodnia nie mieli czasu, aż nadto często biją do miasteczek i tracą dzień cały.

Małe, nieznaczne przyczyny stają się powodem wielkich w skutkach rzeczy. I w tem początkowo zdawało się nam, że nie ma znaczenia żadnego przypuszczenie żyda w dzień świąteczny do dworu, przyzwyczajanie go do robienia z nami interesów w niedzielę, kupowanie u niego i upoważnianie do wszelkiego handlu. Dziś żyd lekceważy sobie nasze dni odpoczynku i modlitwy i z tem większą tradycyą chrześcian dezinwolturą, im on sam większą wagę przywiązuje do swoich świąt i sabasów. Dajmy sobie słowo, że zmienimy postępowanie. Znam już dwory, które wprowadzają zwyczaj bronienia dostępu żydom w niedziele i święta, wymagając od nich pamięci na nasze dni odpoczynku.

Do przyczyn, powodujących częste odwiedzanie miasteczek, zaliczyć musimy dla naszych włościan bardzo uciążliwe sprawy w urzędach. Zabierają im one niezmiernie wiele czasu zupełnie daremnie. I tak wiem o zaleganiu latami stosów nie załatwionych pretensyi i próśb o rozdzielenie podatków przy zamianie gruntów i ich właściciel, lub wreszcie utworzenie nowej własności hipotecznej na rzecz nowego nabywcy. Włościanie w dochodzeniu biurze doprosić się nie mogą obliczenia tak pożądanego i wydania osobnych arkuszy podatkowych z przepisaniem podatku na nabywcę.

Tymczasem tracą godziny i godziny na wyczekiwaniu i chodzeniu a także wynikają procesy, kłótnie i pozwy łatwo sobie wyobrazić, jeśli się przypuści, że przez ten czas grunt znów przechodzi w inne, trzecie ręce.

Czy to wadliwej organizacyi urzędów przypisać?... Przenośny podatek w tej chwili jest ściągnięty, skoro nowy kontrakt podpisany zostaje, dlaczegóż arkuszy podatku gruntowego i innych, dobrosić się nie można całemi latami, po utworzeniu nowej własności hipotecznej? Prawo każe trzymać się gruntu w tym jednym przypadku, właściciel, n i e p o s i a d a j ą c y j u ż g r u n t u, płacić zań musi póty, póki urzędem podatkowym nie sposoba się wystawić nowych arkuszy posiadłości od nowo utworzonego ciała tabularnego i na ich podstawie rozdziału podatków dokonać, poczem dopiero następuje pobieranie podatków od nowonabywcy. Znam fakt taki: z większej posiadłości oddzielono i utworzono nowy korpus tabularny, po sprzedaniu gruntów stanowiących nowo utworzony korpus tabularny, 3 l a t a czekano na rozdział podatków, które przez cały ten czas opłacał dawny właściciel. Cóż powiedzieć w obec tego o drobnych sprawach, których mnóstwo posiadacze nie mają ani możności ani sposobów poparcia, bo nie rozumieją się wcale na przysługujących im prawach. Przedstawiam ten ciekawy casus do rozstrzygnięcia i zbadania komu należy.

O szczęście...

Nie ma zapewne na świecie człowieka, któryby nie pragnął być szczęśliwym i nie dążył do tego wszelkimi możliwymi sposobami. Chęć osiągnięcia szczęścia wrodzoną jest każdemu, zarówno zwykłemu robotnikowi, pchającemu ciężką taczkę codziennego żywota pracy, jako też zmożnionemu życiem i jego powabami bogaczowi.

Lecz czemże jest szczęście?

Nad rozwiązaniem tego zadania suszono sobie głowę od wieków; tysiące myślicieli zabierało głos w tej kwestyi; tysiące dzieł napisano, tysiące sentencyi i aforyzmów wypowiedziano, a przecież pojęcie szczęścia jest tak mglistem, niezbadanem, tajemniczem, jak ów granitowy sfinks egipski...

Byłożby więc szczęście marzeniem, utopią, samem tylko?

Trudno na to odpowiedzieć kategorycznie. Pojęcie szczęścia jest nader różnorodne, a każdy określa je po swojemu. Jedni widzą je w dobrobycie, bogactwie, zaszczytach, drudzy w życiu rodzinnem, inni w sławie, inni wreszcie w rozkoszach zaspokajania swych zachcianek i wymagań... Nikt jednak nie uważa się za szczęśliwego na świecie w razie osiągnięcia tego ideału, jaki sobie zakreślił. Są nawet pesymiści, utrzymujący, że nie ma szczęścia na tym świecie, który jest tylko siedzibą płaczu, łez i obłudy; że nie można być szczęśliwym na tym ziemskim padole płaczu i łez.

A jednak... od czasu do czasu na naszej wędrówce życiowej spotykamy ludzi... szczęśliwych.

Jeżeli szczęście uważać będziemy jako osiągnięcie wszystkich swych pragnień, wówczas przyznać trzeba, że jest ono niemożliwe, gdyż człowiek z natury swej nie może poprzestać na jednem pragnieniu. Na miejsce zaspokojonego żądania zjawiają się nowe, coraz większe i trudniejsze do spełnienia, czasami niezależne zupełnie od woli człowieka. Inaczej rzecz się ma, jeżeli szukamy szczęścia nie od świata, ale w nas samych, w najgłębszych zakątkach swego ducha.

Tylko ten człowiek może być nazwany szczęśliwym, który widzi treść życia nie w bogactwie, w zaszczytach, w zaspokojeniu chwilowych pragnień lub pożądań, lecz w wewnętrznem zadowoleniu, w harmonii swego ducha. Chociaż posiadalibyśmy jak najwięcej zaszczytów, pieniędzy, talentów, wobec niestałości wszystkich rzeczy ziemskich, nie możemy uważać się za szczęśliwych, gdyż na każdym kroku możemy te wszystkie rzeczy utracić i to nas przeraża. Człowiek zaś, posiadający zawsze czyste sumienie, nie goniący za majątkiem lub sławą, który nikomu niczego nie zazdrości i zadawala się tem, co posiada, który z wyrozumiałością traktuje innych i ze spokojem prawdziwego chrześcijanina znosi wszystkie niepowodzenia losu, — człowiek taki niczego się obawiać nie może i nic go nie przeraża...

Szczęście zatem spoczywa w nas samych, ale my tego nie rozumiemy lub nie chcemy rozumieć.

Aby być prawdziwie szczęśliwym, należy przedewszystkiem wyrzec się swego *ja* i żyć dla innych. Tylko miłość, ale nie miłość egoistyczna dzisiejszego pokolenia, lecz miłość powszechna, miłość dla wszystkich, świata całego, może dać nam spokój i zadowolnienie zewnętrzne.

Tymczasem my wszyscy dzisiejsi, z bardzo małymi wyjątkami, nie robimy nic zgoła, aby pozyskać tę harmonię ducha. Troszcząc się tylko ustawicznie o zyski materyalne, czynimy jednocześnie swe życie nudnem, ciężkiem, nieponętnem zgoła. Najmniejsza obraza naszej ambicyi, najmniejsze niepowodzenie w interesach działają na nas przygnębiająco i ujemnie. Jeśli ktoś zadość nie uczynił naszemu żądaniu, zaraz, jak rozkapryszone dzieci, gniewamy się i obrzucamy potokiem obelg tych wszystkich, którzy, zdaniem naszem, dopuścili się zbrodni względem nas. Lada głupstwo gniewa nas, oburza, pozbawia równowagi — a dla czego? Bo nie mamy w sobie tej prawdziwie chrześcijańskiej pokory i miłości, którą głosił światu Chrystus. Zawsze i wszędzie zajęci tylko jesteśmy sobą, dbamy tylko o siebie, szczycimy się i chełpimy swymi czynami, żądamy od innych dla siebie czołobitności, a nawet poświęcenia, sami zaś najczęściej nic dla innych nie robimy i jesteśmy najskrajniejszymi egoistami. Każdy z nas chce być panem, a nikt nie chce być sługą, każdy chce rozkazywać, ale nikt nie chce słuchać.

Patrząc na życie dzisiejszego społeczeństwa, ogarnąć nas musi jakieś zwątpienie, jakieś nieograniczone uczucie litości, a zarazem smutku. Wszyscy błądzimy w ciemnościach, a znikąd ani promyka światła nie widać. Egoizm ogarnął wszystkich — dużych i małych, bogatych i biednych. A ludzie jeszcze myślą i marzą o szczęściu, jakby ono było możliwem — dla egoistów!

Jeżeli chcemy zyskać prawdziwe, a nie chwilowe, efemeryczne szczęście, to powinniśmy przedewszystkiem pozbyć się wszelkich egoistycznych żądań, a jako godło swego życia wywiesić: miłość bliźniego. Tylko ona jedna da nam spokój, zadowolnienie i szczęście, jakie można na tym świecie pozyskać.

Człowiek, który prawdziwie kocha innych, którego serce zawsze otwartem jest dla wszystkich, taki człowiek ma największe zadowolnienie, niedostępne dla innych. Jest on wyższym nad wszystkie chwilowe powodzenia materyalnej natury i nigdy nie bywa wymagającym. Wymagania jego są zawsze umiarkowane i skromne. Jeżeli ma zabezpieczony kęs chleba, uważa się za bogacza; jeżeli jest biedny, to cierpliwie i z godnością znosi swe ubóstwo, bez szemrania i jakiejkolwiek zawiści. Taki człowiek żyje nie dla siebie, a dla innych. Każda przysługa, wyrządzona bliźniemu, cieszy go i raduje, jak dziecko.

Każdy człowiek, prawdziwie kochający ludzkość, musi być zarazem człowiekiem wierzącym; człowiek zaś wierzący patrzy na życie zupełnie inaczej, niż ludzie bez wiary, Ci ostatni, sądząc, że prócz życia ziemskiego, nie ma innego, uważają je za dar tak cenny, iż sama myśl o utracie życia przeraża ich i w rozpacz wprowadza. Człowiek wierzący natomiast nie lęka się śmierci, gdyż jest ona dla niego przejściem z jednej fazy istnienia w drugą. Nie straszą go też klęski i niepowodzenia, które los mu zsyła. Do bogactwa nie przywiązuje wagi, a utraty dobytku nie odczuwa tak, jak wszyscy dzisiejsi egoiści. Tracąc nawet bliskie swemu serca istoty, jest spokojny, gdyż wie, że to rozłąka chwilowa, która prędzej, czy później zakończyć się musi.

Szczęście jest więc na świecie, — ale gdzie się mieści — spytajcie tych, co kochają i... wierzą...

Są chyba jeszcze tacy na świecie.

KRONIKA.

Lwów 6 października.

Wybory. Udział we wczorajszem głosowaniu na posła do Rady państwa z m. Lwowa był bardzo słaby; na 6708 wyborców uprawnionych do głosowania pospieszyło do urny tylko 3·662. Głosowanie skończyło się o godzinie 5-tej wieczorem. Po głosowaniu nastąpiło skrutynium. Wynik jego jest następujący. Kartek oddano 3·662, 29 z nich unieważniono, ważnych przeto głosów było 3·633. Absolutna większość 1·817. Dr. Piętak otrzymał 1871 głosów, t. j. 54 po nad absolutną większość, p. Rewakowicz zaś 1733 głosów, t. j o 138 mniej niż dr. Piętak. Wybrany przeto *dr. Leonard Piętak.*

Gdy ogłoszono rezultat wyborów, tłumy zgromadzone przed salą ratuszową, powitały go z wielkiem niezadowolnieniem, widocznie były złożone ze zwolenników kandydatury p. Rewakowicza. Z przed ratusza tłum z okrzykami przeciw profesorowi Piętakowi, podążył na ulicę Garncarską przed mieszkanie profesora, atoli policya, która już przedtem spodziewała się, że to nastąpi, rozpędziła tłumy i przeszkodziła wszelkiej demonstracyi.

Wczoraj odbywały się również wybory uzupełniające w *Jarosławiu i Dolinie.*

W okręgu *Jarosław-Cieszanów* wybierano posła do Rady państwa z kuryi gmin wiejskich w miejsce ś. p. Władysława hr. Koziebrodzkiego. Na opróżnione miejsce było dwóch kandydatów. Włościanin Antoni Sobień, zalecany przez „Związek stronnictwa chłopskiego“, ks. Stojałowskiego i Rusinów, oraz ks. Leon Pastor rz. kat. proboszcz w Radymnie, zasłużony dyrektor Towarzystwa powroźniczego w Radymnie, który niespożyte zasługi położył około rozwoju przemysłu powroźniczego i tkackiego w kraju. Za ks. Pastorem stały wszystkie rozsądne umysły; kandydaturę jego zatwierdził także centralny komitet wyborczy.

Na dzień wyborów zjechał do Jarosławia ks Stojałowski i w energiczny sposób agitował przeciw ks. Pastorowi. Gładkiemi słowy, któremi umie on przemawiać do włościan, potrafił sobie ująć wielu wyborców, i skłonić ich do głosowania przeciw ks. Pastorowi tak, że ks. Pastor w Jarosławiu otrzymał wprawdzie więcej głosów niż Sobień, ale miał mniej niż absolutną większość. Głosujących było 242 absolutna większość więc wynosiła 122 głosów. Ks. Leon Pastor otrzymał tylko 113 głosów, Sobień zaś 81. Reszta była rozstrzelona.

Pomyślnie wypadł wybór w Cieszanowie, bo tam już nie było komu wichrzyć i agitować. W Cieszanowie głosowało 174 wyborców; 130 głosów padło na ks Pastora, 43 na Sobiena.

W całym więc okręgu Jarosław - Cieszanów głosowało 416 wyborców. Absolutna większość 209. Ks Leon Pastor otrzymał 243 głosów, Sobien 124, wybrany przeto posłem do Rady państwa ks. L e o n P a s t o r.

W Dolinie odbywał się wczoraj wybór uzupełniający posła do Sejmu w miejsce ś. p. Mazarakiego. Do walki stanęło dwóch kandydatów, Polak, marszałek powiatu dolińskiego p. Wincenty Witosławski i Rusin, naczelnik sądu powiatowego w Dolinie p. Adam Grabowieński. Zwyciężył p. W i t o s ł a w s k i, który otrzymał 118 głosów na 184 głosujących Na pana Grabowieńskiego padło tylko 56 głosów.

JE. p. Namiestnik, Kazimierz hr. Badeni, wyjechał dziś na kilka dni do Wiednia.

Mianowania. Minister handlu mianował członkami przybocznej rady kolejowej pp.: Maks. Epsteina, Jakóba Galla, prof. T. Pilata, Leop. Reicha, Jak. bar. Romaszkana, Wład. Struszkiewicza, Zyg. Szancera, St. Bursztyna, St. Ciechańskiego; zastępcami pp.: Jak. Holzera, prof. Jul. Leo, Mich. Michalskiego i Aug. Schelleuberga.

Wybór uzupełniający jednego posła do Rady państwa z kuryi gmin wiejskich okręgu wyborczego Żółkiew-Rawa-Sokal w miejsce ś. p. księdza Józefa Bylińskiego odbędzie się 6 listopada rb.

Wybór uzupełniający dwóch członków Rady powiatowej w Turce, rozpisało Namiestnictwo na dzień 14go listopada rb.

Konkursa. Rada szkolna okręgowa w Stryju rozpisała z terminem do 1go listopada r. b. konkurs na kilkanaście posad nauczycielskich.

Ze sfer kolejowych. W Tarnopolu ustanowiono kierownictwo budowy dla wykończenia projektu budowy linii kolejowej z Halicza do Ostrowa (Tarnopola). Naczelnikiem mianowany starszy inżynier Konstanty Psarski. Naczelnikiem stacyi w Brodach, mianowany p. Jan Szyjkowski. Naczelnikiem stacyi w Nowym Zagórzu mianowany p. Antoni Naglicki. Sprawa obsadzenia posady naczelnika stacyi we Lwowie w miejsce p. Langego, jeszcze niezałatwiona. Prowizorycznie prowadzi obecnie stacyę aż do definitywnego obsadzenia p. Berezowski. — Również i posada naczelnika stacyi w Husiatynie jeszcze nie jest obsadzona. — P. Roman Czibulka mianowany zastępcą naczelnika stacyi w Podwołoczyskach, zaś p. Adolf Haubold zastępcą naczelnika stacyi w Stryju. — Do personalu kolei państwowych przyjęto jako aspirantów na urzędników pp.: Sz. Friedmana do Bukaczowiec, Jakóba Hanuseka do Monasterzysk, Jarosława Paczowskiego do Halicza, Rajmunda Pollaka do Borynicz.

Ze sfer notaryalnych. Notaryusz p. Władysław Zawadzki przeniesiony został z Husiatyna do Czortkowa, a p. Konstanty Rudnicki ze Złotego Potoka do Husiatyna.

Trasowanie kolei wąsko-torowej z Borek Wielkich (za Tarnopolem) do Grzymałowa rozpocznie się w poniedziałek i będzie ukończone w ciągu pięciu tygodni. Kierownictwo robót tych powierzono inżynierowi kolei państwowych, p. Renzenbergowi.

Śluby. Jutro w sobotę o godzinie 7 wieczorem odbędzie się w Cerkwi Wołoskiej we Lwowie ślub panny Józefy Chruszczównej z p. Franciszkiem Ksawerym Dulapą.

Dnia 1go października w kościele parafialnym w Rybnej, w powiecie krakowskim, pobłogosławiony został związek małżeński hrabianki Józefy Tyszkiewiczównej, córki hr. Marcelego i Maryi z Krąkowskich, z p. Juliuszem Cieleckim, synem śp. Włodzimierza i Zofii z hr. Moszyńskich. Wesele odbyło się w znanym z gościnności domu Joachimów hr. Rostworowskich, w Rybnej, w najściślejszem gronie rodzinnem.

Z Tarnowa piszą nam: Dnia 25 z. m. pojawił się w Tarnowie ksiądz Stojałowski, a otrzymawszy audyencyę u naszego księdza biskupa, zażądał wstrzymania z urzędu dalszych protestów duchowieństwa dyecezyi tarnowskiej i odwołania już ogłoszonych. Gdy otrzymał odpowiedź odmowną, zagroził, że niezwłocznie wpłynie na stronników swoich wśród ludu, aby wystąpili z manifestacyami przeciw klerowi. To oświadczywszy, wyszedł. Wiadomość ta, którą otrzymałem z najzupełniej wiarygodnego źródła, nie potrzebuje żadnego komentarza.

Pożary. Dnia 1 b. m. w nocy wybuchł pożar w Horożance wielkiej, koło Komarna i zniszczył wszystkie zabudowania na ruskiem probostwie, oraz sześć zagród włościańskich. Szkoda wynosi przeszło 4000 złr.

Samobójstwo. W Brodach zastrzelił się Józef Horwitz, 17-letni syn bogatego kupca z Brodów. Odebrał sobie życie ze zmartwienia, iż nie zdał egzaminu wstępnego do V klasy gimnazyalnej.

Cholera W ciągu dnia 4 października zachorowało w Galicyi, w miejscowościach cholerą nawiedzonych, 9 osób, wyzdrowiało 10, umarły trzy osoby.

Bankructwo. Wiedeński „Creditorenverein“ ogłasza niewypłacalność Mayera Quellera we Lwowie.

Raut piątkowy w salonach „Koła literacko-artystycznego“ zgromadzi pewno liczną publiczność, bo też i program produkcyi, które mają odbywać się bezprogramowo, jest nader ponętny.

Pani Adolfina Zimajer, tyle pożądany gość warszawski, wraz z córką, będą się produkować śpiewem i deklamacyą. Pp.: Siemaszkowie, Rapacki, Jeżyna, Pollak i Zegarkowski wezmą współudział w koncercie.

Jeśli wydział gospodarczy potrafi dziś nareszcie usunąć urzędową atmosferę rautu i zamieni wieczór na salonowe przyjęcie przy herbacie — przyszłe rauty zyskają na tem wiele. Zobaczymy....

Od prof. Ciesielskiego otrzymujemy następujące pismo:

„W imię prawdy proszę o sprostowanie ustępu dotyczącego mej osoby, a umieszczonego w nrze 227 *Przeglądu.*

Nie jest prawdą, iżbym kiedykolwiek miał jakie dyscyplinarne śledztwo, a tem mniej za zaniedbany zarząd ogrodu botanicznego; nie mógł przeto prof. Jägermann interpelować dra Piętaka o wytoczenie mi śledztwa za jego rektoratu, i rzeczywiście też interpelacya jego brzmiała inaczej.

Faktem jest to tylko, że za rektoratu dr. Piętaka w roku 1881 przysłało c. k. Ministeryum — wskutek osłonnego doniesienia, spowodowanego oszczerstwami docenta dra Kamińskiego i opisaniem kłamliwem ogrodu botanicznego przez ogrodnika E. Jankowskiego — komisyę złożoną z prof. dra Tangla z Czerniowiec i dra Rostafińskiego z Krakowa dla zbadania stanu ogrodu botanicznego. Orzeczenie tej komisyi było takie, że c. k. Ministeryum nie zrobiło podpisanemu żadnego wytknięcia, ani żadnej uwagi, ani nawet nie uważało za potrzebne zakomunikować mu tego orzeczenia komisyi.

Dopiero w 8 lat później, za ponownego rektoratu dra Piętaka, zakomunikowało c. k. Ministeryum podpisanemu orzeczenie owej komisyi, które, jak każdy znawca i nieuprzedzony po przeczytaniu go przyznać musi, było korzystnem dla podpisanego, co zresztą i z tego już wynika, że Wysokie c. k. Ministeryum mimo zesłania komisyi, nie zrobiło podpisanemu ani pierw, ani później, żadnego wytknięcia.

Dr. T. Ciesielski, c. k. prof. Uniw. i dyrektor c. k. ogrodu botan.“

Z Bóbrki nam piszą: Dla uczczenia 70 rocznicy urodzin wieszcza narodowego Kornela Ujej-

85)

ICH SYN

Powieść współczesna

przez

HAJOTĘ

(Ciąg dalszy).

Pomiędzy pierwszem spojrzeniem Redłuskiego na tę fotografię a obecnem, nastąpił w umyśle jego cały szereg rozumowań, a w duszy cały szereg wrażeń, które stępiły i zasunęły gdzieś w dal wszystko to, co te rysy przypominać mu mogły. Owszem, nie tylko nie spuścił już oczu i nie uczuł już na czole nic palącego, ale obudziła się w nim jakaś piekielna żądza poniewierki i urągowiska wielu rzeczom; mściwa chęć posłania jeszcze jednej trującej strzały w pierś tego młodzieńca, który świecił mu swą męczeńską twarzą i tą kroplą krwi z niezabliźnionej rany, zastygającą na obwisłej, w pięść zaciśniętej ręce. Ręka ta nie wyrzuciła go za drzwi dla tego tylko, że sił jej zabrakło, ale gdy siły jej wrócą?... Tak; bez wątpienia; nie była to ręka kompromisów, lecz czynów; należało nie zaniedbać niczego, coby ją ubezwładnić mogło.

Zatrzymał się i ramię w kierunku fotografii wyciągnął:

— Znaliśmy się kiedyś z ojcem pana — rzekł z przyciskiem. — Myślę, iż list tej treści, jakiby odemnie odebrał, byłby tem przykrzejszym, jako pochodzący od... od dawnego towarzysza! Nie tracę jednak nadziei, że pan jako dobry syn postarasz się o to, aby mu tej korespondencyi oszczędzić. Do zobaczenia zatem — na pewno!

I rzuciwszy mu ostatnie, bazyliszkowe spojrzenie, wyszedł.

W przedpokoju nachylił się ku czarnym faworytom Józefa, podającego mu paltot z przesadną usłużnością.

— Jutro, o czwartej w naszej knajpeczce, kochanku — szepnął. — A przez ten czas otwieraj oczy i uszy, wiesz?

Józef kiwnął głową.

— No, no! Mało to już panu moje oczy i uszy powiedziały?

— Więc dziś był list, mówisz? — szeptał dalej Redłuski, kierując się ku drzwiom omackiem, bo w przedpokoju, gdzie Józef nie zapalił jeszcze lampy, ciemno było zupełnie.

— Był

— I posłaniec ledwo dyszał? Na odpowiedź czekał? Hm! Hm! Coś pilnego zatem?

Trafił do klamki i oparł na niej rękę, zamyślony, nie śpiesząc się.

— Ej, kochanku, — przemówił po chwili bardzo cicho, ujmując Józefa za rękaw, gdybyś tak był sprytny, a jakim sposobem wystarał mi się do jutra o jaki z tych liścików... jaki bądź.. przecież gdzieś je tu chować musi... Kobiety takich rzeczy nie niszczą. Zresztą mówiłeś mi sam, że widziałeś kiedyś jak zamykała szufladkę... To nie tak trudno dobrać się, i...

Józef obejrzał się instynktownie. Wydało mu się, że słyszy gdzieś, w głębi mieszkania drepczące kroczki Bibisi.

— Tak to pan myśli, mruknął — a niech-by się wydało?

— Głupiś kochanku, — przerwał Redłuski z nieopuszczającą go nigdy arogancyą. — Cóż ty sobie wyobrażasz, że twoja pani pozwałaby cię do sądu? Inna rzecz brylantowa broszka, a inna rzecz miłosny liścik. O taką kradzież nie robi się hałasu.. Bądź spokojny; co najwięcej wymówili by ci służbę i to bardzo grzecznie... A już ja w tem, żebyś inną, jeszcze lepszą znalazł.

— Eh! o to, jak o to! — wtrącił lekceważąco lokaj.

— A widzisz. Spróbój-że...

— Józefie! Jest tu Józef? — zabrzmiał strwożony głos kobiecy i drobna postać Bibisi zaczerniła się w ciemności na progu u drugiego końca przedpokoju.

Józef śpiesznie drzwi za Redłuskim zamknął, tak śpiesznie, że tamten, gdyby mu przyszła ochota wdawać się w podobne subtelności, byłby się mógł uważać za wypchniętego ręką swego przedpokojowego przyjaciela.

— Ano, jestem — burknął ten ostatni, pocierając zapałką spodnie. — Czego panna Bibijanna tak wrzeszczy? Pali się, czy co?

Bibisia nie zwróciła nawet uwagi na szorstki ton, jakim zmięszanie swoje chciał pokryć.

— Rany Chrystusowe! — wołała nagląco, — niech Józef co prędzej leci po doktora. Paniczek zachorował. Przechodziłam właśnie koło drzwi... wtem słyszę jakieś: tha! tha! jakby się kto dusił. Jezus Marya! Wchodzę, a on biedniątko leży na otomanie, jedną ręką za czoło się trzyma, a ja drugiej jakem go się dotknęła, coś ciepłego ciecze... O! Święci pańscy! Krew go uchodzi niby świętego Sebastyana, czy co! Józefie! niech-że się Józef śpieszy!

I podreptała prędko z powrotem, składając ręce i szepcząc słowa modlitwy, podczas gdy Józef dystyngowanie, miarowym krokiem, a z niedystyngowanem zaklęciem na ustach udał się na poszukiwanie swojej czapki i palta.

Redłuski wiedział dobrze, gdzie mierzył. Ostatnie jego słowa trafiły Tadeusza w samo serce, jako piorunująca odpowiedź na pytanie, jakie sobie przed chwilą stawiał patrząc na tego człowieka, który zdawał, się uważać przedajne pośrednictwo i szantaż za tak dobre zajęcie jak każde inne. Więc ten kąkol.. ta gleba... te soki, to... to...

Myśli mu się splątały; było z nim tak jak gdyby wydostawszy się z trzęsawiska zapadał teraz w przepaść bezdenną... Trzęsawisko to był Bystrorzecki i jemu podobni, to był de Soligny-Kierczyński, to była występna namiętność matki; wszystko to leżało już po za nim, ukarane, zwalczone, opanowane. Ale przepaść otwierała się straszna, czarna, niezgłębiona i ciągnęła go oszołomionego w swoje wnętrze, które rwało się, albo wydaniem w ręce żydowskie tego kawałka ziemi, który mu był drogim jak krew własna, albo rzuceniem spokoju, kto wie, może nawet życia ojca na pastwę temu... temu...

W tej chwili straszliwego zwichrzenia się tylu na raz uczuć, myśli, zestawień, nie widział, nie był w stanie widzieć innego wyjścia... Gdy zbyt wielki ciężar zwali się na człowieka, wtedy milknie w nim instynkt odporności, zostaje tylko rozpaczliwa świadomość przygniecenia i tak się stało z Tadeuszem.

Opadł na poduszki otomany i leżał bez ruchu ze ściśniętem gardłem, z żarem pod powiekami i szumem w uszach. Jakiś cierpki, dziwny ból wił mu się koło serca, to wstrzymując jego bicie, to wprawiając je w gwałtowne drgania, od których po członkach szedł mu dreszcz mroźny, a z otwartej rany ciepła wilgoć zsuwała się wzdłuż ramienia, on zaś miał to wrażenie, że to tak kropla po kropli życie jego tamtędy wypływa i rad był temu.

Tak go zastała Bibisia, wracająca śpiesznie, pomimo że w pokoju było jeszcze stosunkowo widno, z zapaloną świecą, której płomień osłaniała swą pomarszczoną, dygocząca ręką. Pochyliła się nad nim.

— Paniczku! robaczku najdroższy! — szepnęła. — Doktor zaraz przyjdzie. Może paniczkowi co trzeba tymczasem?

Dał jej znak, żeby zdmuchnęła świecę i siadła przy nim, a gdy spełniła to żądanie, dźwignął z trudnością swą bladą głowę z poduszek i ułożył ją przy wąskiej płaskiej piersi starej piastunki.

— Nianiu! — wymówiły jego zbielałe usta cichym, skarżącem się głosem — nianiu!

Bibisię chwyciła zaraz taka żałość i takie uszczęśliwienie, że wydało jej się, iż nie wytrzyma i ryknie płaczem: „Nianią“ ją nazwał i tulił się do niej, niby ten Tadziuś maleńki, którego tyle razy na kolanach swych usypiała, a twarz miał taką starą z bólu, taką starą i zmarszczkę na czole taką głęboką. Bibisia nie zdawała sobie jasno sprawy z tych dwóch sprzeczności, nie byłaby ich potrafiła nawet określić, ale je czuła aż gdzieś na dnie swej naiwnej kochającej duszy.

Jednem ramieniem objęła Tadeusza, togarnąc go mocno do czarnego kamlotowego napierśnika; a drugą ręką grzebała uporczywie w fałdach swej beżowej sukni, nie mogąc, jak na złość, dobrać się do kieszeni... A te głupie łzy leciały jej z oczu jak najęte, pomimo usilnego łypania powiekami. Znalazła nareszcie chustkę i utarła nią nos z łoskotem.

— Rybeńko moja złota, co ci jest? — szepnęła, cofnięta zupełnie w przeszłość tą nazwą „niani“, jaką jej usta jego dały, odnajdując ten odrębny styl dziecinnego pokoju, za którym jej, koniecznie coś pieścić i pielęgnować potrzebującej, tęskno już było — Co cię boli, co? W rączynę się uraziłeś skarby moje najdroższe i krewka ci pociekła? Zaraz ci ją doktor opatrzy, bandażyk zmieni, a teraz poleż sobie u niani spokojniutku, ot tak...

Przeciągała wyrazy, kołysząc się lekko w tył i naprzód w takt swej śpiewającej, pieszczotliwej mowy, jakby go tym ruchem rytmicznym uśpić chciała, a on przymykał oczy w zupełnem rozprzężeniu nerwów, z mętną świadomością rozbitka, wśród ogólnej zatraty zbawczych łodzi i opiekuńczych świateł, czepiającego się mizernej deski chwilowego wytchnienia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

skiego odbędzie się w sali Rady powiatowej dnia 7go października r. b. wieczorek muzykalno-deklamacyjny.

Kółko naukowe w Drohobyczu odbędzie posiedzenie w sobotę dnia 7 b. m. o godzinie 6 wieczorem w sali Rady powiatowej. Porządek dzienny: 1. Odczytanie protokołu z ostatniego posiedzenia; 2. Odczyt dra Fruchtmanna „O semityzmie żydów". 3. Odczyt prof. Zycha „Z Kościuszkowskich wspomnień". 4. Wnioski członków. Członkom przysługuje prawo wprowadzania gości.

Wiec w sprawie Morskiego Oka odbył się na ratuszu w Rzeszowie i uchwalił poprzeć rezolucyę wiecu lwowskiego. Przewodniczył poseł sejmowy dr. Wiktor Zbyszewski.

Egzamin jednorocznych ochotników Z pułków piechoty: 24, 15, 55 i 80 przystąpiło 19 ochotników, z pomiędzy których następujący egzamin zdali: Józef Balaban, Jan Chudy, Ignacy Freund, Józef Hałaszkowski, (z odznaczeniem) Emanuel Herman, Jan Kurmanowicz, Józef Lisowski, Józef Moskal, Wiktor Parfanowicz i Bolesław Zalewski. Dziewięciu ochotników nie zdało egzaminu, z tych trzech służyło drugi rok, sześciu pozostaje nadal w służbie.

Deszcz owadów. W Kursku spadł dnia 18-go z. m. deszcz owadów koloru zielonego i pomarańczowego. Deszcz trwał przeszło 2 godziny i owadów spadło tyle, że dachy domów, drzewa i ziemia były pokryte grubą ich warstwą.

Zakład im. Bilińskich. Do sporej już liczby zakładów dobroczynnych we Lwowie przybywa nowy a mianowicie „zakład dla nieuleczalnych" fundacyi Antoniego i Waleryi z Rotharyuszów Bilińskich, który z dniem dzisiejszym wszedł w życie na pożytek biednych. Zakład położony jest prawie za miastem w ustronnem zaciszu, jak tego wymaga jego przeznaczenie. W górnej części traktu grodeckiego po za dawnym dworcem kolei czerniowieckiej jest zaciszna, pośród ogrodów położona, uliczka, ochrzczona niedawno od nazwiska fundatora „ulicą Bilińskich".

Już z daleka oczom przybysza przedstawia się okazały budynek piętrowy, zbudowany w stylu romańskim, z cegły żółtej i czerwonej, wzniesiony na podstawie planów architekty p. Weissa. Gmach pokryty jest czarnym łupkiem. Na otaczającej go zieleni wygląda poważnie, nie ma jednak w tej powadze nic ponurego. Wewnątrz urządzony jest z prostotą ale wygodnie. Na razie pomieści się w zakładzie 20 chorych, wszakże cały budynek obliczony jest na 60 osób. Później urządzony będzie zakład tak, aby właśnie tylu chorych mogło w nim znaleźć przytułek. Dozór i opiekę nad chorymi spełniać będą cztery Siostry Miłosierdzia, dla których są osobne pomieszkania, również jak dla kapelana i lekarza ordynującego.

Funkcye lekarskie będzie pełnić z woli fundatora dr. Gostyński. Jest także obszerna kapliczka, w której chorzy pobierać będą pociechy religijne. Obok głównego budynku wznosi się drugi, parterowy, przeznaczony na administracyę.

Dziś przed południem o godzinie 11 odbyło się poświęcenie tego zakładu w obecności kilkudziesięciu osób. Ks. arcybiskup Morawski dokonał aktu poświęcenia i udzielił błogosławieństwa arcypasterskiego. p. A. Biliński, fundator zakładu. Szczupły, niski staruszek, lat już blisko siedmdziesięciu, o barwie sympatycznej powierzchowności, był podczas całej uroczystości do głębi wzruszony i dziękował za objawy hołdu, jakimi go otaczano.

Najlepiej w imieniu miasta wyraził mu uznanie burmistrz Mochnacki i podniósł, że wedle woli fundatora zakład przeznaczony jest w pierwszej linii dla rodaków z Rosyi i Prus, którzy stamtąd przesiedliwszy się, w kraju naszym przytułku w swoich cierpieniach. Marszałek ks. Sanguszko dziękował zacnemu fundatorowi imieniem całego kraju.

W uroczystości poświęcenia uczestniczył także ormiański arcybiskup ks. Isaakowicz.

Niegodziwość. W przeddzień przyjazdu rosyjskich marynarzy do Paryża wpadł pewien duchowny francuski na myśl, która nie przynosi zaiste zaszczytu jego sukience. Załącz się w jednem z pism paryskich, że wszyscy trzej polscy duchowni w Paryżu: X. Dębicki od św. Magdaleny, X. Kwiatkowski z kościoła „des Blancs-Manteaux" i Tański z parafii batignolskiej, są szpiegami trójprzymierza i autorami korespondencyi do dzienników zagranicznych, w których objawiają nicość Francyi i jej instytucyi. *Figaro*, odpowiadając na tę insynuacyę, oświadcza, że „szpiegostwo tych ludzi polega na tem, iż nieraz w noc deszczową i śnieżną chodzą z wiatykiem do umierających, za fortyfikacyami miasta, że w ogóle pełnią najbardziej ciężkie i najmniej wdzięczne obowiązki swego wzniosłego powołania. — Bylibyśmy serdecznie wdzięczni *Figarowi* za odparcie napaści, o której dopiero z jego łamów się dowiadujemy, gdyby nie był uznał za stosowne całą swą obronę budować na tej podstawie, iż XX. Dębicki Kwiatkowski i Tański są „pochodzenia polsko-rosyjskiego", i nie był wyrzucał autorowi napaści, że jest ona „nie na czasie w wigilię odwiedzin naszych przyjaciół w Tulonie". Więc Polak we Francyi nie ma już prawa do obrony od oszczerstwa, jeśli się go pod moralny ... nie przemyci. Smutny stan moralny umysłowy!

Z Tarnopola nam piszą: Wczoraj mieliśmy w mieście naszem dwa groźne pożary. O godzinie 1 1/2 po południu sygnalizowały dzwony wieży ratuszowej wybuch ognia na przedmieściu mikulinieckiem. W tej chwili wyruszył cały tren pożarowy z swoim naczelnikiem p. Szyszyńskim, a równocześnie stanęła na miejscu wypadku tutejsza straż ochotnicza pod dowództwem p. Warzyszkiewicza. Paliła się realność p. Senika kierownika szkoły ludowej, obejmująca dwa domki, pasieki, stodoły, komory i szopy napełnione zbożem, słomą i sianem. Silny wiatr utrudniał nadzwyczaj akcyę ratunkową, tembardziej, iż ogień przerzucił się na przeciwległą stronę gdzie równocześnie zajęły się budynki niepalne. Szkoda wynosi ... Straż pożarna poniosła ... inwentarza, tem dotkliwsza strata, tembardziej, iż ...

Drugi pożar wszczął się o godzinie 9 wieczorem na przedmieściu „Zarudzie", tuż obok młyna parowego p. Galla. Paliły się trzy zagrody włościańskie, które wraz z szopami, stodołami i nagromadzonymi w nich ziemiopłodami, padły pastwą rozszalałego żywiołu. Straż pożarna ograniczyła się na zlokalizowaniu ognia, a pracowała bez wytchnienia i pełna energii, to też należy jej się za to wszelkie uznanie.

Z Kijowa nam donoszą, że rząd rosyjski zakazał wydawania pozwolenia ... pozwolenie to ... z sobą wydalenie wszystkich urzędników Polaków, których jest na tych kresach przeszło 2000!

Paweł Déroulède ułożył na cześć eskadry rosyjskiej piosenkę, którą tekst podaje ostatni numer *Figaro*. Piosenka zatytułowana jest rosyjskim wykrzyknikiem „*Niczewo!*" (Nic nie szkodzi!). Oto refren jednej ze zwrotek, wystosowanych do przybywającej eskadry: „*Laissons le passé, ma chère, puisque nous nous aimons bien; Nitchevo! ça n'y fait guère, Nitchevo! ça n'y fait rien.*" (Zapomnijmy o przeszłości, moja droga, ponieważ się bardzo kochamy; niczewo! to wcale nie szkodzi; niczewo! to nic nie stanowi!) W dalszym ciągu brzmią słowa piosenki: „Szczęścia wasze są naszą radością, wasze niedole naszemi klęskami, a jeżeli ktokolwiek wam grozi, marząc o położeniu ręki na ziemiach, które wam się należą (!), pozwólmy mu marzyć, moja droga, bo przecież kochamy się bardzo; niczewo! to wcale nie szkodzi; niczewo! to nic nie stanowi!"

W jakim wieku należy się żenić? Pewien statystyk uczynił to pytanie przedmiotem gruntownych studyów i przez długie lata zbierał daty statystyczne co do chorób i śmiertelności dzieci, badając przy każdym wypadku, w jakim wieku pobrali się rodzice chorego lub zmarłego dziecka. Zebrawszy obfity materyał z 30.000 wypadków śmierci, doszedł ów statystyk do następujących wniosków:

Najsłabsze są dzieci pochodzące z matek poniżej lat 20, najsilniejsze zaś te, których ojcowie mają od 30 do 40 lat.

Statystyk daje więc następujące rady: Panny nie powinny wychodzić za mąż przed 21 rokiem życia; starzy mężczyźni nie powinni żenić się z młodemi pannami; kobiety poniżej lat 35 nie powinny wychodzić za mężczyzn mających więcej niż 50 lat, ani też za zbytnio młodych; mężczyźni nie powinni żenić się z pannami niemającemi lat 20, a jeżeli mężczyzna jest w wieku od 20 do 30 lat, to nie powinien również żenić się z kobietą mającą więcej niż 35 lat.

Jak mierzą i ważą. Jest pytanie, w założeniu nielogiczne, na które łapie się dzieci, a czasem niezastanawiających się ludzi dojrzałych:

— Co jest cięższe: funt pierza, czy funt żelaza?

Ileżto śmiechu budzi odpowiedź, że cięższy jest funt żelaza! Jakto? Więc byłby funt cięższy i funt lżejszy?

— A, prawda! — odpowiada złapany, spostrzegłszy swą omyłkę.

Otóż za pozwoleniem! Nie należy tak pochopnie przyznawać się do błędu.. funt bywa lżejszy i cięższy.

Niedawno mieliśmy sposobność rozmawiać z pewnym inicyatorem Kółka rolniczego i sklepiku na prowincyi. Sługa Temidy z powołania miał kłopot nielada z organizacyą przedsięwzięcia pod wezwaniem Merkurego. Okazało się, że nie dość jest mieć do czynienia z „szalą sprawiedliwości", aby dać sobie radę z prostą ważką i miarką handlową. Te mają zawsze skłonność do figielków.

— Podrabianie firm — mówił nam wzmiankowany organizator sklepiku — rozwinięte jest na wielką skalę. Ztąd też wynikają najrozmaitsze nieporozumienia. Zaraz na wstępie spotkaliśmy się z zarzutem, że sprzedajemy drogo. „U żyda — wytykano nam — można dostać to samo o tyle a tyle taniej." Wziąłem się do sprawdzenia, dlaczego tak się dzieje. Ponieważ chodziło o produkt wiedeński, zacząłem porównywać opakowanie. Pudełko takie samo, napisy są, firma jest, marka fabryczna również; wszystko takie samo, chociaż czuć, że się ma do czynienia z falsyfikatem. Przyglądam się jeszcze; na pudełku oryginalnem narysowano gmach fabryczny z jednym kominem, na falsyfikacie rysownik zrobił aż trzy kominy. Kto je tam będzie liczył, a towar koniec końców tańszy. Innym razem zrobiłem jeszcze lepsze odkrycie. Znowu nam zarzucono, że sprzedajemy znany wyrób krajowy drożej niż gdzieindziej. Piszę do fabryki i odbieram odpowiedź: „Posyłamy panom funty większe, ale jeżeli panowie chcecie, to możemy wysyłać mniejsze..." Co to jest?... Funt mniejszy i funt większy?... Zapytujemy się jeszcze raz i otrzymujemy wyjaśnienie, że funt większy ma 500 gramów, a funt mniejszy 470 gr. Bagatela! 6 pct. straty na wadze. Rozumie się, że można sprzedawać taniej o kilka centów na funcie.

Jak tedy widzimy, jest w samej rzeczy funt lżejszy i funt cięższy. Ile ztąd straty wynika dla konsumenta, a ile nieprawnego zysku dla niesumiennego kupca, łatwo zrozumieć.

Ale i funt „uczciwy" nie zawsze może zaspokoić wymagającego odbiorcy, zwłaszcza gdy jest podawany w opakowaniu. Co może zaważyć taka „torbeczka", „pudełeczko", „słoiczek" lub „świstek papieru"? — powie słodziutko pan kupiec. — Prawie nic!... Gdybyśmy jednak przyjrzeli się cyfrom, zobaczylibyśmy, że to „nic" jest kolosalnie ciężkie. Jedno z pism specyalnych zrobiło obliczenie, ile konsumenci nadpłacają za gruby papier, w jaki zawijane bywają głowy cukru. Dokładnej cyfry nie pamiętamy, ale za całoroczną produkcyę wypadły miliony. Wprawdzie i papier kosztuje, ależ trudno zań płacić, jak za cukier.

Tych kilka przykładów powinno wystarczyć do obudzenia niezbyt przyjemnych dla konsumenta refleksyi na temat: Jak ważą?

Zobaczmy teraz, jak mierzą ci sami adepci Merkurego

Pomijamy tu wszelkie uwieczniane nawet w humoreskach „metody" oszukiwania łatwowiernych kmiotków przez kupców jarmarcznych, na rynkach miejskich itd., a dotkniemy jedynie kwestyi mniej spowszedniałej.

Jest miara fantastyczna, nieuchwytna matematycznie, figurująca jednak w cennikach i mająca określoną cenę. Co jest bowiem, matematycznie biorąc, szklanka lub kieliszek? W zwyczajnym szynku „kieliszek" jest jeszcze miarą; ale już w średniej jadłodajni staje się fikcyą, a w pierwszorzędnej restauracyi okazem mikroskopowym. To samo szklanka; są szklanki małe, większe, podwójne, podobnie jak kieliszki. Kto jednak wie, ile taka szklanka właściwie mieści? Kto zgadnie, czy szklanka podwójna jest istotnie podwójną? Istnieje tu chaos zupełny. Wiemy tylko, że kieliszki i szklanki są różne w różnych miejscach: tu większe, tam mniejsze, tam jeszcze mniejsze.. Wiemy, że gdy waha się cena produktu, wielkość szklanki i kieliszka również ulega wahaniu. Wiemy wreszcie, że szklanka i kieliszek są to miary, które w różnych warunkach starają się dopasować do mniej więcej stałej ceny — ale jak się to dzieje, to już tajemnica restauratorów i handlujących.

Albo i butelka! Kto się połapie wśród tych form smukłych i pękatych, tych szyjek długich i krótkich, denek płaskich i wepchniętych aż do połowy butelki... Kto tam zgadnie, ile taka butelka w sobie mieści!

Jak widzimy, w sferze miar i wag nie mało istnieje chaosu, zamętu niemal legalnego, gdyż nie da się on właściwie podciągnąć pod regulujący wpływ kodeksu. Jeszcze za funt „lżejszy" można się poposprzeczać z p. kupcem; był nawet wypadek, że za zbytnią hojność w „opakowaniu" skazano któregoś z handlujących na 25 złr. kary, ale jak tu procesować się o zawartość kieliszka, butelki lub flaszki? Więc płaci się bez kontroli, a pp. kupcy napychają sobie kieszenie na koszt konsumenta.

Takie są niektóre z tajemnic „łokcia i miarki".

Skąpstwo ukarane. Król Kastylii Piotr, zwany Srogim, wymyślił dla pewnego sknery-lichwiarza karę, zupełnie odpowiednią dla niego, kazał go mianowicie zamknąć do ciemnicy i nie dawać mu jeść ani pić. Po upływie pewnego czasu więzień, męczony głodem i pragnieniem, prosił dozorcę, aby mu dał kawałek chleba i trochę wody.

— Możesz dostać wszystko, tylko zapłać — odpowiedział dozorca, żądając za chleb i wodę ogromnej sumy pieniędzy.

— Tyle zapłacić nie jestem w stanie — krzyknął przerażony sknera. W miarę jednak, jak głód i pragnienie poczęły mu dokuczać coraz więcej, zgodził się na zapłacenie żądanej sumy, lecz dozorca szyderczo zażądał większej sumy niż za pierwszym razem.

— Wolę umrzeć, niż zapłacić taką ogromną sumę za kawałek chleba i kubek wody — zajęczał skąpiec i starał się zagłuszyć w sobie uczucie głodu i pragnienia. Udało mu się to wprawdzie, ale nie na długo i wreszcie ze łzami w oczach i zgrzytem zębów zapłacił żądaną sumę. Otrzymał chleb i wodę lecz w tak niedostatecznej ilości, że głód i pragnienie zjawiły się wkrótce. Sknera znowu płacił i ta procedura tak długo była powtarzaną, dopóki majątek lichwiarza nie zmiejszył się do skromnych rozmiarów spadku, jaki otrzymał po ojcu. Wtedy król zawołał go do siebie.

— Teraz wiesz — rzekł monarcha, — jak ciężko jest biednemu zaopatrzyć się nieraz w konieczne potrzeby do życia Spodziewam się, że nauka ta posłuży ci na przyszłość i przestaniesz zajmować się lichwą.

Zmarli. Jan Franciszek Kasparek, rodem z Galicyi, weteran z 1831 r., umarł w Paryżu, zapisawszy w testamencie 46 000 franków na szkołę polską w Batignolles, 20.000 frank. na zakład weteranów polskich św. Kazimierza, 20.000 fr. dla Towarzystwa Opieki nad dziećmi w Reims, 500 fr. dla stowarzyszenia artystów muzycznych w Paryżu.

Nazwa „fin de siecle".
Mama jest w rozpaczy, Zuzia bowiem, narzeczona Symplicyusza, chce zerwać małżeństwo, jakkolwiek Symplicyusz jest wcale niezłą partyą.

— Dziewczyno! powiedzże mi przynajmniej, coś sobie upatrzyła do Symplicyusza?

— Iii — rzecze Zuzia z dąsem — co mi tam po takiej maszynowej miłości!

— Maszynowej miłości?!

— A tak! Wszystkie listy miłosne pisuje do mnie na maszynie do pisania.

Dotrzymał słowa.
Gogo: W tym miesiącu nie będę mógł panu nic dać.

Krawiec: Pan mi to samo już mówiłeś w przeszłym miesiącu.

Gogo: No, więc cóż? Alboż nie dotrzymałem słowa?

Teatr. Dziś: „Lilla Weneda". — Jutro w sobotę: „Życie paryskie"; ostatni występ pani Zimajer. — W niedzielę popołudniu: „Biedna dziewczyna", wieczorem „Lilla Weneda".

Literatura i Sztuka.

* **Drugi wieczór humorystyczny** p. Artura Zawadzkiego odbędzie się w niedzielę 8 b m. w sali „Sokoła". Szczerze komiczne typy i wykonanie artystyczne, jakiem się p. Zawadzki odznacza, każą się domyślać, że sala „Sokoła" powtórnie zapełni się doborową publicznością Program zapowiada nową seryę monologów: „Don Juan Warszawski", „Żyd rekrutem", „Pani Bzikowska ze skargą w redakcyi", „Niepocieszony wdowiec", „Pan Emerytalski" i przewybornа „Pani Pipermenth na wodach".

Bilety wcześniej nabywać można w cukierni pp.: Hausera i Bieniedzkiego.

Głosy publiczności.

Kochawina. Dalsze ofiary na kościół Najśw. Maryi Panny, od 14 marca do 1 sierpnia.

J. S. ze Zbaraża o spełnienie życzeń 1, Wanda z Dąbrowicy za doznane łaski 1, Dębińska z Krakowa 2, Wieśniaczka z Janczyna o uzdrowienie jedynego dziecka 0·50, Walter 2, Pieńczykowska ze Strychaniec 3, T. C. przesyła z Karlsbadu o opiekę nad ukochanymi 5, Mirzeńska z Dubowicy o opiekę nad dzieciną 5, W. M. T. z Nadyb dziękując M. B. Koch. za cudowne uleczenie dziecka 50 a na koronę M. B. 50, Listowski z Nadyb o błogosławieństwo rodziny 10 i n. m. ś., Sękowska o błogosł. M. B. dla dzieci 1 i n. m. ś., N. N. z Sędziszowa o pomoc M. B. w trudnej sprawie 1, G. J. ze Szczyżowa o wysłuchanie gorących próśb 2 i n. m. ś., Głowacka ze Lwowa 2, M. Chat. ze Strzyżowa dziękując M. N. za doznaną łaskę 2, dr. Majewski 2, Ortel z Daszawy o błog. 1, ks. Sojka 1, Nagel z Bóbrki o pomoc dla syna przy maturze 1, Wilhelmina z Kozielnic za zdrowie Antosia 1, ks. Lubomęski proboszcz z Bełza 5, J. Z. z Tarnowa o uzdrowienie matki 1 i n. m. ś., H. M. z Tarnowa o zdrowie 1, S. R. ze Lwowa o pomoc dla syna przy egzaminie 1, Ligęza votum prosząc o dalszą opiekę 2, J. L. B. z Kalnicy o opiekę M. B. 1, K. P. o opiekę 2, Mogielnicki z Mikuliniec za doznane łaski 2, K. L. z Brzeżan 2, Jakubowski, w czasie ciężkiej choroby siostry zrobiłem votum, po wyzdrowieniu z podzięk. odsyłam 2 i n. m. ś., sługa Maryi z prośbą o zdrowie 1, Z. S. dziękując za zdrowie 2, Korytowska z podziękowaniem za otrzymane łaski 15, Pieńczykowska z Strychaniec 2, K. W. z Kurzan na podziękowanie 2, Wilczyńska z Rawy o zdrowie dla rodziny 1, Czekałowicz z Czortkowa za znalezioną zgubę 3 i n. m. ś., Janicka o zdrowie dziecka 1, M. J. dziękując za opiekę 1, Dropiowski z Wierzbian o odwrócenie chorób 2, Łąkiewicz o zdrowie dla dzieci 2. Kamieńska ze Lwowa stułę i 2

Ks. Jan Trzopiński
admin. parafii poczta Żydaczów.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 4 października.

(Z.) W obec tego, że podwyższenie stopy procentowej przez bank austro-węgierski jest rzeczą nieuniknioną, spieszą się bankierzy, aby ile możności jak najwięcej weksli w instytucie tym po tańszej jeszcze stopie zeskontować. Wczoraj i dziś zgłoszono tam do eskontu weksli na przeszło 12 milionów reńskich. Partya zniżkowa na naszym targu podnosi coraz śmielej głowę, a zawsze gotowa do ataku na walory austryackie kontrmina berlińska wspiera ją dzielnie. Dziś n. p. obiegały na giełdzie berlińskiej najniedorzeczniejsze pogłoski o wrzekomo rozpaczliwej sytuacyi naszego targu. Opowiadano tam, że zanosi się na bankructwo kilku najpoważniejszych firm wiedeńskich, że panuje tu taki brak gotówki, iż nawet na 11 procent trudno ją dostać i t. p.

Pogłoski te posłużyły za pretekst do olbrzymich sprzedaży, które oczywiście pociągnęły za sobą znaczny spadek kursów. Przed zamknięciem targu poprawiła się jednak sytuacya pod wpływem doniesień, że w Paryżu taki jest nawał gotowych pieniędzy, iż instytucye tamtejsze chcą skorzystać z podwyższenia eskontu przez bank austro-węgierski i udzielą bankom wiedeńskim znacznego kredytu, że wreszcie w Londynie prawdopodobnie zniżoną zostanie jeszcze bardziej stopa procentowa, gdyż eskont prywatny spadł tam na 1 1/2 procent, a zatem o 2 procent niżej od raty bankowej. Poprawiły się więc kursa cokolwiek, ale wczorajszego poziomu nie osiągnęły.

Firma Siemens & Halske, która buduje we Lwowie tramwaj elektryczny, zaciąga na targu berlińskim pożyczkę 10 milionów marek w 4 1/2-procentowych obligacyach.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 335·—, węgierskie 410·—, Anglobanki 150·—, Uniony 251·—, Bankvereiny 122·25, Länderbanki 247·20, Ludwiki 216·50, Czerniowieckie 257·—, Renta papierowa 96·90, srebrna 96·65, austryacka złota 119·40, 4% austr. renta wal. kor. 96·30, węgierska złota 116·30, 4% węgierska renta wal. kor. 93·80, dukat 5·97, 20-frankówka 10·04—, marki 12·40, ruble 1·31 1/2.

§ **Wiedeń** 4 października. Spirytus 17.10—17.30.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 6 października. Do dzienników tutejszych donoszą, że arcyksiążę Franciszek Ferdynand d'Este przybył wczoraj do Nowego Jorku, dziś zaś udaje się do Waszyngtonu, a jutro ruszy w drogę do Europy.

Bank austro-węgierski podwyższył wczoraj eskont o cały procent (z 4 na 5 od sta).

Peszt 6 października. Wczoraj rozpoczęła się w sejmie debata nad petycyami w sprawie odpowiedzi Cesarza w Boros-Sebes i w Güns.

Dep. Bartka imieniem skrajnej lewicy postawił wniosek, aby z powodu tych odpowiedzi monarszych wyrażono gabinetowi naganę.

Hr. Apponyi przedłożył imieniem swego stronnictwa projekt adresu do tronu, w którym kładzie nacisk na lojalność i niewzruszoną wierność Węgrów dla tronu, tudzież serdeczny stosunek między Koroną a narodem. Adres kończy się prośbą, aby król ufał narodowi węgierskiemu i rozprószył obawy i wątpliwości, jakie powstały z powodu owych przemów Najj. Pana.

Po hr. Apponyim zabrał głos prezes gabinetu p. Weckerle i oświadczył, że rządowi znaną była z góry treść przemów Najj. Pana i dla tego przyjmuje on za nie wszelką odpowiedzialność. Przeciwko wrogim państwu agitacyom przedsiębierze rząd potrzebne środki zaradcze, i jeśli okaże się tego potrzeba, zażąda od sejmu uchwalenia nowych środków ustawodawczych. Niebawem wniesie rząd nowy projekt ustawy o prawie zgromadzania się i zakładania stowarzyszeń. P. Weckerle nie może ukryć zdumienia swego z tego powodu, że właśnie Węgrzy zaniepokojeni są przemowami Monarchy, skoro powinno być wręcz przeciwnie, bo nigdy jeszcze król nie położył tak energicznego nacisku na nietykalność konstytucyi węgierskiej i ustaw, jak właśnie w przemowach swoich w Boros Sebes. W dalszym ciągu swej mowy podniósł p. Weckerle występujący coraz bardziej na jaw terroryzm niektórych stronnictw, tudzież zaznaczył, że podstawa, na której opiera się ugoda między Węgrami a Przedlitawią, ma charakter trwały, zatem jest nienaruszalną. W końcu przyrzekł p. Weckerle, że wniesie niebawem osobne przedłożenie w sprawie utworzenia osobnego węgierskiego dworu królewskiego i zażądał odrzucenia wszystkich wniosków opozycyjnych.

Dziś odbędzie się dalszy ciąg debaty.

Wiedeń 6 października. Minister rolnictwa hr. Falkenhayn poddał się wczoraj operacyi, która przeszła szczęśliwie. Spodziewać się można, że niebawem odzyska minister zdrowie.

Nowy Orlean 6 października. Wedle ostatnich obliczeń, zginęło skutkiem ostatniego cyklonu przeszło 2000 osób.

Petersburg 6 października. Wczoraj ogłoszono nową o 15 prc. zniżoną taryfę kolejową dla przewozu zboża rosyjskiego przez Austryę do Włoch, Szwajcaryi i Francyi.

Madryt 6 października. W prowincyi Biskai zachorowało wczoraj na cholerę 39 osób, a umarło 24.

Peszt 6 października. Komisya budżetowa rozpoczęła wczoraj obrady nad budżetem.

Przy tytule „utrzymywanie dworu cesarskiego", zabrał głos prezes ministrów Weckerle i oświadczył, że w kwestyi utworzenia węgierskiego dworu królewskiego wypracował już odnośny operat i uzyskał dlań aprobatę Korony. P. Weckerle musi jeszcze w tej sprawie porozumieć się ze swymi kolegami i dopiero potem przedłoży ów operat.

Na zapytanie jednego z posłów, czy operat ten urzeczywistnia kilkakrotnie wyrażane życzenie utworzenia osobnego dworu królewskiego, odpowiedział p. Weckerle, że nigdy nie przyrzekał spełnić tego życzenia i że z politycznego stanowiska uważa utworzenie osobnego dworu królewskiego za niestósowne.

Paryż 6 października. Pani Adam urządziła wczoraj na giełdzie kollektę na przyjęcie Rosyan w Paryżu. Kollekta ta przyniosła wszystkiego 120 franków.

Paryż 6 października. Bastówka węglarzy w kopalniach w Mons i Charleroi słabnie. Coraz więcej robotników wraca do pracy, a w głównym szybie wrócili już wszyscy.

Temps donosi, że książę August Sasko-Koburski, domniemany kandydat do tronu brazylijskiego, wsiadł wczoraj w porcie Pauillac na pokład okrętu „Bresil" i popłynął do Brazylii.

Madryt 6 października. Dzienniki tutejsze otrzymały doniesienie, że Kabyle w okolicy Melili wypowiedzieli Hiszpanii wojnę.

Nowy York 6 października. Arcyksiążę Franciszek Ferdynand d'Este zwiedzał wczoraj wodospad Niagary i wieczorem odjechał do Nowego Yorku.

Londyn 6 października. Do *biura Reutera* donoszą z Rio de Janeiro, że komendanci obcych okrętów wojennych, stojących na kotwicy w porcie tamtejszym, zażądali od swoich rządów nowych instrukcyi, gdyż prezydent Peixoto ustawił w kilku punktach miasta artyleryę, ażeby odstrzeliwała się zbuntowanej flocie.

Admirał Mello bombardował wczoraj miasto gwałtownie przez cały dzień.

Przyjechali do Lwowa

dnia 6 października 1893.

HOTEL FRANCUSKI. J. Kellermann z Kańczugi. A. Kaufmann z Wiednia. E. Anspach z Chemnitz. A. Popper z Wiednia. A. Roth z Węgier. A. Breia z Wiednia. Ks. J. Halerowicz z Załanowa. M. Thaler z Wiednia.

HOTEL VICTORIA. L. Wiśniewski z Drohobycza. Ks. M. Dzerowicz z Dobrzan. H. Królikowski z Przemyśla. Dr. J. Jendl z Trembowli. Z. Hoch z Wiednia. R. Szewczyk z Pragi. St. Gorgul z Krakowa E. Kuryłowicz z Rawy Ruskiej.

HOTEL IMPERIAL. Hr. S. Zborowski z Krechowic. Dr. S. Domański z Krakowa. Ks. T. Bobikiewicz ze Siwki. Dr. M. Rosenstock ze Skałatu. W. Ostrowski z Rakowic. W. Barański z Łukawic. J. Gizowski z Mokrzan. G. Loewy z Wiednia. W. Gurski z Dąbrowy. E. Hoenigsmann z Jass. A. Roth z Węgier. S. Philipp z Hamburga. S. Stronczak z Sądowej Wiszni. O. Strzembosz z Żytomierza.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Giełdy zbożowe. Peszt 5/10. Pszenica na jesień 7·31—7·33.— Berlin 5/10. Pszenica 143·75 — Paryż 5/10. Mąka 44·—

§ **Giełdy pieniężne.** Wiedeń 6/10. Godz. 10 m. 30. Akcye kredytowe zł. 336·15, Anglo-austryjackie 150·—, Länderbanki 248·25, kolei południowej 103·—, marki niemieckie 62·02, Staatseisenbahn 303·15, akcye tytoniowe 188 —. Usposobienie: spokojne.

Berlin 5/10. (Kurs wieczorny). Ruble pap. 212·40 Kredyty 200·25, Listy Zastawne polskie 65·60, Karola Ludwika 103·—, Rosyjska pożyczka wschodnia —·—, Austryackie banknoty 161·05.

Z Izby handlowej. Lwów 6 października 1893.

1. Akcye za sztukę.

bez kuponu bieżącego / bez dywidendy	płacą		żądają	
Kolej gal. Kar. Lud. 200 zł. m. k.	215	50	218	50
„ Lwow.-czer.-jas. 200 zł. w. a.	256	—	259	—
Banku hipotecz. gal. 200 zł. w. a.	375	—	385	—
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	—	—	215	—

2. Listy zastawne za 100 zł.

Banku hip. gal. 5% los. w lat. 40	101	—	101	70
Banku hip. gal. 5% z 10% pr.	110	—	110	70
Banku hip. 4 1/2% los. w 50 lat.	100	—	100	70
Banku krajowego 4 1/2% w. a.	100	50	101	20
Banku krajowego 4% los. w 57 l.	97	30	98	—
Tow. kred. galic. 4% I-sza emisya	98	—	98	70
„ „ „ 4% „ 56 lat.	98	30	99	—
„ „ „ 4 1/2% „ 52 lat.	98	30	99	—
„ „ „ 4% los. w 41 1/2 lat.	100	—	100	70

3. Obligi za 100 zł.

Galic. fund. propinacyjnego 4%	96	30	97	—
Bukow. fund. propinacyjnego 5%	102	25	—	—
Kom. Banku kraj. 5% II emis.	102	25	—	—
Pożyczka krajowa 6%	105	—	—	—
„ „ 4 1/2%	100	—	100	70
„ „ 4%	96	10	96	80
„ „ 4% koronna	96	30	97	—

4. Losy.

Losy miasta Krakowa	24	—	26	—
Losy miasta Stanisławowa	40	—	—	—

5. Monety.

Dukat holenderski	5·93	6·08
Napoleondor	9·99	10·09
Półimperyał rosyjski	10.20	—·—
Rubel rosyjski srebrny	1·31—	1.33—
„ „ papierowy	1·31 1/4	1·32 3/4
100 marek niemieckich	61·70	62·30—

RUCH POCIĄGÓW.

(*Zegar lwowski*).

Odchodzą do	Kuryer		Osobowy		
Krakowa	3·01	10·41	5·26	11·11	7·36
Podwołoczysk	6·44	3·20	10·16	11·11	—
Podw. Podza.	6·54	3·32	10·40	11·33	—
Czerniowiec	6·36	—	10·36	3·31	10·56
Stryja	—	—	7·21	10·26	8·41
Bełzca	—	—	9·56	7·21	—
Przychodzą z					
Krakowa	3·08	6·01	6·36	9·41	9·35
Podwołoczysk	2·48	10·02	6·21	9·46	—
Podw. Podza.	2·34	9·46	9·21	5·55	—
Czerniowiec	10·10	—	7·11	7·59	12·51
Stryja	—	—	1·08	9·06	9·52
Bełzca	—	—	8·16	5·26	—

Uwaga: Godziny drukowane grubemi liczbami oznaczają porę nocną od 6 wieczorem do godz. 5 m. 59 rano.

114)

FATALNA POMYŁKA.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

przez

A. B. EDWARDA.

Tłómaczyła z angielskiego Zofia baronowa Harting.

(Ciąg dalszy).

Był on całą pociechą moją, a Bóg jeden wiedział, jak bardzo łaknęłam i potrzebowałam pociechy. Czułam się bardzo, bardzo nieszczęśliwą.

Dniem i nocą siliłam się nad rozwiązaniem niepojętej tajemnicy, która zawisła nad mojem życiem. Wszak list został wręczony, a po otrzymaniu go Hugon natychmiast opuścił Chambéry. Nie zostawił żadnego adresu, nie napisał ani razu do ciotki, ani do nikogo w Broomhill. Zniknął poprostu bez śladu z widowni świata, a wraz z nim zniknęli Tipoo i Magdalena. Zaczynałam już przypuszczać, że może zamordowany został podstępnie w drodze, albo że Magdalena otruła go w przystępie szalonej zazdrości. Była Włoszką, a czarne, namiętnym ogniem pałające jej źrenice miały w sobie coś złowieszczego. A jeżeli też to ona odebrała list z poczty i zniszczyła go? Ale nawet w takim razie niepodobna było przypuścić, aby Hugon, dziwiąc się długiemu milczeniu mojej ciotki, pozostawił ją tyle czasu bez żadnej wiadomości o sobie.

Te pytania, cisnące się tłumnie do głowy, rozsadzały mi mózg i życie moje uczyniły jedną, długą, nieprzerwaną katuszą. Daremnie wszyscy otaczający przedkładali mi, że ta straszna zagadka musi wyjaśnić się z czasem, rozpacz beznadziejna ogarniała mnie, bo byłam pewną, że nie zobaczę go już nigdy w życiu.

Teraz na mnie przyszła kolej czynić sobie gorzkie wyrzuty. Pochylona nad mapą, z pobladłą twarzą i zbolałem sercem, mówiłam sobie: gdybym była tę drogę obrała a nie inną, byłabym go może zastała. Gdybym była wyjechała zaraz, to wszystko nie byłoby się zdarzyło. I straszna zgryzota wpijała się w pierś moją, wysysała całą dawną energię i siły. Męki, które on przecierpiał, ja przechodziłam teraz. Kropla po kropli piłem tę czarę piołunowej goryczy, którą on wychylił do dna. Ciotka nie czyniła mi już teraz żadnych wymówek. Ja sama potępiałam siebie bez miłosierdzia i obwiniałam za błąd popełniony. Cierpiąc przez niego, poznawałam, ile on wycierpiał przezemnie i w torturach własnych odczuwałam dojmujące żądło jego tortur i niepokoju o mnie.

O! była to zaiste straszna epoka w mojem życiu. Odpokutowałam wtedy chyba za wszystkie grzechy mojej przeszłości.

Pewnego popołudnia, było to w kwietniu, Ida weszła do mojej małej pracowni i usiadła na podnóżku u stóp moich. Siedziałam milcząca i zatopiona w gorzkiem rozpamiętywaniu, jak zwykle. Ujęła mnie za rękę i czule przytuliła do niej twarz swoję.

— Moja biedaczko — odezwała się ze współczuciem — znowu byłaś samą. Gdzież pani Sandyshaft?

— Jest na obiedzie u swego bankiera, a potem miała z całą rodziną zrobić wycieczkę do Antemnae i Fideny.

— Gdybym to była wiedziała, byłabym pozostała w domu. To niedobrze dla ciebie pozostawać sam na sam ze smutnemi myślami. Czy wychodziłaś dzisiaj?

— Chodziłam przed śniadaniem na spacer z Goody i z maleńkim — pieszczotliwie rzekła Ida. — Taki duży chłopaczek. Nazywaj go jego własnem imieniem: Hugo... Ugolino... to tak ładnie brzmi.

— Och! nie, nie jeszcze. Nie mogę... Kiedyś może, później...

— Jak chcesz, kochanko. A czy wiesz, gdzie byłam dzisiaj?

— Gdzie? — spytałam roztargniona.

— Najpierw u Plowdena, zapytać, czy mieli już jakie wiadomości z Zollenstrasse i czy obraz nie został uszkodzony w drodze. Potem wstąpiłam do Pialego zobaczyć, czy nadszedł już ten „Przewodnik po Rzymie“ dla pani Sandyshaft.

— To bardzo poczciwie z twojej strony, droga Ido.

— I tam, u Pialego zastałam tego pana, którego parę razy spotkałam już przedtem. Pamiętasz?... Mówiłam ci...

— Wiem, wiem. Tego angielskiego artystę, który mieszkał u ojca twego w Monachium i taki dobry był dla ciebie.

— Jemu to zawdzięczam moje pierwsze początki w sztuce i przyjęcie do Akademii — gorąco dorzuciła Ida.

— Okazał się istotnie dobrym przyjacielem dla ciebie — rzekłam, usiłując skupić rozerwane moje myśli. — I znowu spotkałaś go dzisiaj?

— Tak; siedział w czytelni, powstał na mój widok, przywitał się bardzo serdecznie ze mną i zapytał, czy nie życzyłabym sobie skorzystać z pozwolenia, jakie otrzymał, zwiedzenia Muzeum Kampanii.

— I poszłaś, rozumie się.

— Tak, rada byłam ze sposobności obejrzenia tych nader ciekawych zbiorów. Wracając, pan Perwane zaproponował mi przechadzkę po Pincio, a wtedy...

Zawahała się, a dłoń jej zadrżała w mojem ręku.

— Droga Ideczko, co tobie jest? — zawołałam zaniepokojona. — Drżysz i płonisz się cała. Co się stało?

— Bo widzisz, sama nie wiem, czy mam się śmiać, czy płakać. Wszystko to takie dziwne, niespodziewane... Zaledwie mogę wierzyć.

— Wierzyć, czemu? moja ukochana?

— Temu, co mi powiedział tam, w ogrodzie.

Zaczynałam pojmować o co chodzi i pochyliwszy się ku niej, wzięłam ładną jej główkę w obie moje ręce i twarzą obróciłam do siebie.

— Co ci powiedział, Ideczko? — spytałam serdecznie. — Że nie zapomniał cię przez te wszystkie lata i że pragnie cię nazwać żoną?

Zarzuciła mi oba ramiona na szyję i twarz zarumienioną radością ukryła na mojej piersi.

— Tak; powiedział, że zawsze wspominał mnie z dobrocią i... i że pokochał mnie od pierwszej chwili, kiedy mnie ujrzał tu, w Rzymie.

— A ty, moja droga, cóżeś mu odpowiedziała?

— Nie pamiętam dobrze... ale zdaje mi się, iż mu powiedziałam, iż bardzo się cieszę, że o mnie nie zapomniał i...

— Ale, moje drogie dziecko, czy tylko nie zanadto pośpieszyłaś się? Widziałaś pana Perwana zaledwie raz, czy dwa...

— Widziałam go nie wiem ile razy — wybuchnęła Ida, zdjęta skruchą. — Nie mogłam temu przeszkodzić. Wiedział, gdzie mieszkamy.

— I niby przypadkowo spotykał cię; czy tak?

— Tak; przytem, jak wiesz, mieszkał dwa lata u moich rodziców. Miałam więc czas dobrze go poznać i... i... Barbaro, zdaje mi się, że ja go już kochałam troszeczkę... zanim jeszcze przybyłam do Zollenstrasse am Main!

I przytulona do mnie, śliczna i zapłoniona szczęściem, wyspowiadała mi całą niewinną, a długo ukrywaną, choć przeźroczystą tajemnicę swego serca. Były to stare, stare dzieje miłości czystej jak łza, zrodzonej w dziewczęcem sercu, z uczucia podziwu i głębokiej wdzięczności, wypisane na białej karcie jej życia jak niedośpiewany poemat, niepodsycany żadną nadzieją, nie zatruty żadną goryczą, niewinny jak dusza, a święty jak modlitwa. Miała tyle do powiedzenia, a to wszystko dało się streścić w jednem tylko słowie: kocham!

I długo, długo szepcząc tak przytulone do siebie, trwałyśmy we wzajemnym uścisku, aż zmrok zapadł na dworze i tylko dogasające na kominku głownie oświecały pokój i nasze twarze wzruszone. W końcu Ida odeszła do siebie na górę, a ja pozostałam sama.

Wiatr powstał na dworze i wstrząsnął szybami okien. Kilka gwiazd wyzierało z za szmat poszarpanych obłoków, posępnie przeciągających po niebie. Synek mój zbudził się w kołysce, a ja, dorzuciwszy kilka drewek do ognia, schwyciłam go na ręce i zaczęłam go całować, gdy naraz Goody z wylęknionym wyrazem twarzy ukazała się na progu.

— Moje kochanie — rzekła, wahając się — jest tu jakaś pani, która koniecznie chce się widzieć z tobą.

— Co za pani?

— Nie wiem... i... i pytała o panią Farguhar.

— Moje nazwisko... — szepnęłam zdjęta trwogą. — Kto tu zna mnie pod mojem nazwiskiem?

— Jakaś obca zupełnie osoba. Ale oto i ona.

Wysoka, zawoalowana postać w czerni stanęła za nią.

Powstałam z krzesła. Ona przestąpiła próg, zamknęła starannie drzwi za sobą i podniosła woal.

Była to Magdalena.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: **Ludwik Masłowski.** Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządca: Walenty Hodak.